


EXCELSIOR [1].




Drżący cień nocy padał w około,
Kiedy przez ciche alpejskie sioło
Szedł obcy młodzian z dziwnym sztandarem,
Na którym napis w języku starym:
EXCELSIOR!

Blade miał lica—pod dumném czołem
Błyskał źrenicą jak mieczem gołym,
A jak dzwięk jakiś trąby srebrzystéj,
Głos się rozlegał brzmiący i czysty:
EXCELSIOR!

W chatach wesoło płoną ogniska,
Czerwony płomień migocąc błyska
A w górach zimno świecą się lody,
I westchnął z cicha wędrowiec młody:
EXCELSIOR!

Nie chodź tam daléj! starzec nań woła;
W strasznym chmur wieńcu stoją gór czoła
I potok ryczy w głębiach parowu;
Ale dźwięk smętny rozległ się znowu:
EXCELSIOR!

Stój! szepnął drżący głosik dziewczęcia,
Znużone czoło schyl mi w objęcia;
Lecz łza w błękitném stanęła oku,
Gdy w mgły wieczornéj jęknęło mroku:
EXCELSOR!

([1]) Wyraz ten znaczy *wyższy*, dany tu w znaczeniu: *idź coraz wyżéj.*

(Przyp. Red.)

Strzeż się! wieśniacy w progach chat krzyczą,
Zdradnéj lawiny stać się zdobyczą,
Spruchniałéj jodły strzeż się na hali;
Lecz echo tylko drgnęło już w dali:
EXCELSIOR!

A gdy pobożne Bernarda syny,
Wśród uroczystéj świtu godziny,
Świętych swych hymnów wznosili chóry,
Głos nieznajomy dośpiewał z góry:
EXCELSIOR!

Wtém wśród zimnego śniegów grobowca
Pies wierny znalazł zwłoki wędrowca,
Znalazł je z dziwnym w dłoni sztandarem,
Na którym napis w języku starym:
EXCELSIOR!

A kiedy piękne martwe to ciało
W drżącéj poranku łunie leżało,
Jak od błękitów niebios odbity,
Dźwięk uroczysty przeszył błękity:
EXCELSIOR!

M. Ilnicka.

WSPOMNIENIA RODZINNE.

(Dalszy ciąg).

Podróż Marji Wesslównéj do Polski.—Stan kraju i domowe życie. —Zamek Nasielski i jego wewnętrzne urządzenie. — Nowsza cywilizacja w walce z staropolskiemi obyczajami — Wzór dawnéj polki. —Wycieczka w dzieje.— Jan III i generał Staremberg. — Niespodzianka. — Ciche zaręczyny. — Przygotowania do ślubu.—Wyjazd do Gdańska. — Marja Wesslówna i wysłaniec królewicowéj Jadwigi Eleonory. — Intercyza ślubna. — Uroczystość weselna trzynastu par narzeczonych.— Ojciec Ferdynand kapucyn. — Pałac królewica Konstantego w Gdańsku. — Muzeum pamiątek rodzinnych i narodowych.—Jeszcze Jan III i Leopold I.—*Był człowiek posłany od Boga, któremu imie było Jan.* Średniowieczne poświęcenie i późniejsza polityka.— Summy paryzkie, własnością rodziny Sobieskich będące.—Sala balowa kirem powleczona.—Dziwna sprzeczność.—Pogoda poprzedzająca straszną burzę.—Nowe wojny w Polsce. — Porażka pod Półtawą.— August II występuje znów na widownię.— Karol XII w Benderze. — Jego dziwna postawa i szalona obrona.—Leszczyński przebrany przybywa do Jass.—Intrygi na Wschodzie dwóch stron wojujących.—Niestałość i lekkomyślność Porty.—Przyjaźń Karola dla Leszczyńskiego, — Księztwo Dwóch Mostów. — Poniatowski (ojciec Króla). — Karol powraca do Szwecji. — Śmierć jego i charakter.—Ogólne uwagi.

Nie będziemy szczegółowo opisywać długiéj, przykréj i mozolnéj podróży Marji do Polski. Jechała ona pod brzemieniem głębokiego smutku i bolesnych myśli, które jéj bardzo naturalnie nagły i dziwny rozdział z królewicową nastręczał. Niéma podobno dla młodego i szlachetnego serca przykrzejszego wrażenia, boleśniejszego uczucia, jak doznany zawód ze strony osób, którym oddało się z całém poświęceniem i zaparciem siebie. Mówię dla młodego serca, gdyż wszyscy mniéj więcéj rodzimy się z miłością i gotowością ofiary, położenia życia dla osób lub zasad, a w dalszym dopiero wieku okresie,—wśród cierpień, walki bolesnych zawodów, z kolei uczucie to jeżeli się nie zmniejsza, wielkiemu ulega przeobrażeniu,—nie żebyśmy od pierwotnych odstąpili przekonań, ale dla tego, że na drodze życia, wielkie w zastosowaniu onych znajdujemy przeszkody [1]). Biedna Marja była w takiém właśnie położeniu; gorącém młodzieńczém uczuciem, przywiązała się do swéj opiekunki, a mając wpojone od matki Delorme głębokie uczucie

[1]) Jeden błąd, tak piszących jak i wychowujących dzieci rodziców i pedagogów, jest fałszywe bardzo wyobrażenie, które w uczniów swoich wpajają, że cnota na tym jeszcze świecie uszczęśliwia. Rozumie się, że tu nie może być mowy o owéj nagrodzie czysto abstrakcyjnéj wewnętrznego zadowolenia, którego źródło w czystém sumieniu, gdyżby go dziecko tém bardziéj nie zrozumiało. Zdaniem naszém, należałoby wpajać w młode pokolenie, obok głębokiego pojęcia obowiązku i powinności, ów niezaprzeczony pewnik, że nie zawsze skutki cnotliwych czynów będą dla nich błogie, że życie uczciwego człowieka jest nieustanną walką, że nagrody jedynie w inném życiu, które jest celem, do którego dążymy, szukać powinniśmy. Młodzieniec napojony wyobrażeniami ziemskiéj sprawiedliwości i nagrody za dobre uczynki, wchodząc w odmęt świata, nabiera doświadczenia, które go wcale czego innego poucza. Ztąd niesmak, zrażenie, pomieszanie w jego wyobraźni pojęcia *o dobrém* i *złém*, daléj zwątpienie o cnocie, obowiązkach, a nawet o Bogu. Gdybyśmy nieodmiennie wpajali w młode serca ową chrześcijańską prawdę, że życie ziemskie jest *przejściem* tylko, sposobiącém nas do lepszego i jedynie prawdziwego życia, ileżbyśmy mu zawodów i boleści oszczędzili?... Sceptycyzm, ateuszostwo, nie rzadko wyradzają się w szlachetném sercu, jako wynik gorzkich zawodów i głęboko uczutego, moralnego świata tego nieporządku. (P. A.)

powinności, po śmierci ojca miłość, posłuszeństwo, i cześć jaką miała dla niego, zwróciła do królewicowéj i jéj małżonka. Zawód, którego z téj strony doznała, przepełnił jéj serce goryczą i nieledwie zwątpieniem o ludziach i cnocie. Dodajmy do tego trapiącą ją myśl o rozdziale z królewicem, wspomnienie jego listu do Zofji Leszczyńskiéj, niepewność jaki obrót cała ta sprawa weźmie i jéj kłopotliwe względem własnéj rodziny położenie. Marja pod wpływem tych bolesnych wrażeń, jechała dniem i nocą, rzadko się w drodze zatrzymywała, dążąc spiesznie ku téj Warszawie, wśród któréj się chowała, którą serdecznie ukochała i gdzie miała zamiar pozostać czas jakiś w klasztorze PP. Sakramentek, zkąd przed pięcią laty tak błogą uniosła pamięć. Na granicy Polski, u podnóża słupów zdobnych w herby i barwy ojczyste, kazała się zatrzymać woźnicy, wysiadła z pojazdu, krótką zmówiła modlitwę, a schyliwszy się, ucałowała ze łzami ziemię potem i krwią rodaków przesiąkłą, któréj widoku przez tak długie lata pozbawioną była. Jéj towarzyszka podróży, o któréj mówiliśmy w końcu poprzedniego rozdziału, z zaciekawieniem przypatrywała się téj scenie, a gdy starościanka wsiadła napowrót do pojazdu, zapytała się z wielką nieśmiałością: coby to znaczyć miało? Marja tłómaczyła jéj jak mogła własne uczucia, ale niemka zwykle miłość kraju łokciem dobrobytu mierząca, nie pojmowała ani łez, ani rozrzewnienia, które widok jego sprawił. Nasłuchawszy się od niemieckich dworzan królewica Jakóba, o ciągłych wojnach pustoszących Polskę, o palących się jéj miastach, zamkach i siołach, o bandach zgłodniałych wojsk różnych stronnictw, obiegających kraj, pustoszących wszystko co im pod oczy podpada, niemniéj nasłuchawszy się długo i szeroko przesadzonych baśni o bezrządzie i barbarzyńskich obyczajach polaków, zestrachana cudzoziemka, jechała w zupełném przekonaniu, że gdzieś wśród i niebotycznych sosnowych lasów, życie postradać będzie musiała. Już na drodze, w Szląsku należącym wówczas do Austrji, napotykała po miasteczkach ogromne murowane więzienia i szubienice, przeznaczone dla różnego rodzaju zbrodniarzy i przestępców, trwoga jéj zatem wzmagała się jeszcze. Jakże więc mile została zadziwioną, gdy przejechawszy granice Rzeczypospolitéj, ujrzała okolice przed rokiem jeszcze straszną pustoszone wojną, pełne niw żyznych i zielonych sadów; wszystko tchnęło do koła spokojem i uczciwą pracą. Krzyże i obrazy Boga-Rodzicy zdobiły sioła, których mieszkańcy w dobrą i ciepłą przyodziani odzież, z twarzą swobodną i wypogodzoną, przyjmowali podróżne szczeropolskiém powitaniem: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* —Drogi wprawdzie były bagniste, mylne i niezbyt starannie utrzymane, lasy niebotyczne nieprzejrzanych obszarów, ale miasto spodziewanych łupieztw i rozbojów, niejednokrotnie wśród gęstych kniei, podróżne nasze natrafiały na zamożny dwór szlachecki, wzywający ich pod gościnny lubo nieznajomy dach, do wypoczynku z trudów podróży. W tych dworach, obok sutego poczęstunku, serdecznego przyjęcia, hucznéj nadwornéj muzyki, znalazła się kaplica domowa i szpital wiejski, w którym pani domu i wspierający ją we wszystkich dobrych uczynkach, zwykle z sąsiedzkiego wzięty klasztoru ksiądz kapelan, chorych i podróżnych, swojską leczyli apteczką. W owych czasach nie było w Polsce w miastach i siołach, a tém mniéj po drogach publicznych zajezdnych domów; tu i owdzie stały tylko bez drzwi i okien, na pół zgniłą pokryte słomą karczmy, w których żyd arendarz, otoczony tuzinem dzieci i wnuków, dawał przytułek tym jedynie, którzy chętnie jego miodek i swojską, na dworskim swędzoną garncu, wódkę żytniowkę spijać chcieli. Jeżeli naziębły woźnica, lub hajduk królewicowéj do posługi Marji w podróży przydany, chcieli czasami zatrzymać się dla zagrzania ulubionym napitkiem, żyd arendarz wychodził i mówił kłaniając się z niedowierzającym uśmiechem: Co to państwo drogi nie znał? ja ubogi żydek, nic nie mam tylko wódkę, ale jeżeli państwo chce zatrzymać się na nocleg, nu, to ja zaprowadzę do dworu, tam będzie wygodnie i ciepło i rarytna kolacyja. Za wskazaniem Herszka, kolasa podróżnych zwracała się ku dworskiéj alei, zwykle staremi lipami lub topolami wysadzonéj, z pe-

wnością, że otwarte i gościnne po za nią, na swe przyjęcie, znajdzie serca. Tak jadąc i wstępując po drodze do nieznanych w gościnę dworów, szóstego dnia po wyjeździe z Olawy, nasze podróżne szczęśliwie i bez żadnego wypadku dotarły do Warszawy, gdzie przez uszczęśliwione z widoku Marji zakonnice, powitane zostały. Na samym jednakże wstępie, bolesna niespodzianka oczekiwała starościankę. Matki Delorme już nie było. Na kilka miesięcy przedtem, zakończyła swój poczciwy żywot, wśród żalu zgromadzenia, uczennic i biednych, którym hojne udzielała wsparcie. Zostawmy na chwilę Marję, gorącemi łzami zwilżającą grób dawnéj opiekunki, lub serdecznie witającą się z zakonnicami i pozostałemi w klasztorze koleżankami, a pośpieszmy uprzedzić ją do miejsca, gdzie ostatecznie zdążała i gdzie zamieszkiwał brat jéj, o lat dwanaście od niéj starszy [1]). Józefat, starosta Ostrowski, opiekun jedyny siostry i dwóch młodszych braci, Adalberta i Franciszka pobierających nauki w Paryżu, z których późniéj pierwszy jako kasztelan warszawski, drugi jako kasztelan zakroczymski, zajęli krzesła w senacie.

Na równinach staréj Zakroczymskiéj ziemi, otoczony sztucznemi kanałami, rzeczką Nasielką podsycanemi, leżał wśród bujnych łąk i nieprzejrzanych dębowych lasów zamek Nasielski, dawna, bo od połowy szesnastego wieku, rodziny Wesslów siedziba, zrujnowana wśród ostatniego Szwedów najazdu, z któréj już dziś nie ma żadnego prawie śladu. W czasie obecnie nas zajmującym, był to gmach czworoboczny, z ciosu układany, o żelaznéj ciężko zamykającéj się bramie, starożytnych kratą żelazną opatrzonych oknach, grubéj i niesmakowitéj architekturze. Sześć smukłych wieżyc, wystrzeliwało z środka szarych ścian korpusu, szeroki na kilka stóp mur strzelnicami opatrzony, palissadami i barjerami najeżony, otaczał jego niezbyt obszerny dziedziniec, wraz z odpowiedniemi mu wałami i fossami, które w razie potrzeby napełniały się wodą, z kanałów i rzeczki spływającą. Na szańcach, stały średniowiecznym jeszcze zwyczajem, moździerze z odwróconemi na zewnątrz zamku paszczami. W owych czasach zamożniejsza szlachta nie inaczéj budowała swe zamki, tylko jako warownie w obronie Rzeczypospolitéj, przeciw zbyt częstym obcych najazdom. Dwa zwodzone mosty, pilnowane przez nadworną piechotę starosty Ostrowskiego, dawały przystęp do zamku. Ta piechota, po części między młodemi parobczakami poddanemi starosty, po części z niewolników tatarskich, tureckich i szwedzkich oraz ich dzieci i potomków werbowana, w barwę starosty przybrana, w dzidy uzbrojona zimą uczyła się sztuki wojennéj od instruktorów, których dymissjonowani żołnierze z wojska Rzeczypospolitéj dostarczali, odprawiała służbę w gumnach i browarach, latem pracowała w polu, zawsze zaś była na zawołanie kraju, gdy mu groziło niebezpieczeństwo. Wojsko to na dworze składało się z ośmdziesięciu ludzi żywionych i ubranych, kosztem prowentu Nasielskiego i dowodzonych przez kapitana, który sam jeden brał żołd w zbożu i pieniądzach. Mustra, zimą i latem odbywała się na zamkowym dziedzińcu, zkąd żołnierze rozchodzili się na warty i roboty, stosownie do potrzeby i pory roku. W owych czasach, mniéj zamożni nawet panowie utrzymywąli wojsko i wyznajmy z bólem serca, nie wyłącznie na obronę granic Rzeczypospolitéj przeznaczone. Nieszczęsna prywata, zabierała zbyt często ręce i broń do ogółu należące, na zaspokojenie własnéj chciwości i chęci łupieztwa. Za pierwszego to głównie sasa, zjawiły się i mnożyły krwawe starcia między sąsiadami, najazdy na cudze grunta i lasy, owe spory graniczne, które nie ścisła sprawiedliwość, ale siła roztrzygała; sądy poczęły być bez znaczenia, jak ich wyroki bez powagi i stanowczéj egzekucji. Król własnemi widokami zajęty, domową

[1]) Adalbert, ożeniony z Teresą Załuską, kasztelanką Różańską, był ojcem Teodora wojewody Łęczyckiego, wielkiego podskarbiego koronnego, o którym będzie mowa w następującéj części tych wspomnień i znanéj czytelnikom Klementyny (matki Tekli). Nie wiem dla czego, w książce będącéj w ręku zgromadzenia PP. Sakramentek, a mającéj nazwę *Rejestr śmiertelny*, w nekrologu matki Tekli, podają kasztelana warszawskiego, jakoby ożenionego z Konkordją Tazinówną, która właśnie według papierów rodziny Wesslów, będących w naszém ręku, była żoną brata jego najstarszego, starosty Ostrowskiego. (P. A.)

wojną turbowany, najazdami i intrygami obcych zaprzątnięty, a przedewszystkiém, otoczyć się jak największą liczbą stronników zmuszony, nie miał czasu myśléć o drobnostkach wewnętrznéj administracji, a wielu nadużyciom nie mógł lub nie śmiał przeszkodzić. Ale odwróćmy oczy od bolesnego widoku tworzącéj się u nas anarchji i wróćmy do dalszego opowiadania naszego. Najprzód, wprowadzimy czytelnika do wnętrza głównego zamku Nasielskiego korpusu i zapoznamy go bliżéj z jego mieszkańcami.



Jakież było jéj zadziwienie, gdy pod zakonną, skromną suknią, poznała królewica Konstantego.

Wchodziło się na wstępie do przedsionka, otoczonego dużą kratą żelazną i opatrzonego oknami, a następnie do wielkiéj sieni dwupiętrowéj, ogrzewanéj dwoma olbrzymiemi, z niebieskich kafli, piecami. W środku był wysoki, chęcińskim marmurem wyłożony komin, w którym niezawodnie para koni wygodnie pomieściéby się mogła. Po dwóch bokach kamienne szerokie wschody, prowadziły na wszystkie piętra korpusu. Na pierwszém były komnaty do przyjęcia gości, bawialnie i jadalnie; na drugiém sypialnia starościny, komnata jéj męża i jego kancelarja, wyżéj jeszcze kaplica zamkowa i składy rzeczy. Po bocznych pawilonach, mieściły się gościnne pokoje, stancje dla dworzan i pokojowców, zbiory pamiątek i biblioteka, po nad bramą było mieszkanie kapitana nadwornéj piechoty i zbrojownia. W osobnych budynkach połączonych krużgankami z głównym korpusem, były kuchnie, mieszkania niższéj służby, daléj koszary, stajnie, obory i inne zabudowania gospodarskie. Styl tak zewnętrzny jak wewnętrzny zamku, jego ozdoby, sprzęty i urządzenie, nosiły cechę owéj bezładnéj mięszaniny czasu przejścia i zmiany, owego

szamotania się zbytku i wytworności zachodu i południa Europy z osobistym smakiem właściciela, oraz z starodawną przodków jego prostotą, wyobrażeniami i życzeniami. I tak, obok staroszlacheckiéj polskiéj, łosią skórą wybitéj ławy, stało modne już wówczas, późniéj wolterowskiém przezwane krzesło, przy olbrzymich, ciężkiéj roboty kutych srebrnych naczyniach, świecznikach, misach, dzbanach, nalewkach, błyszczały modne bardzo na początku wieku XVIII z brązu ulane na wzór greckich i rzymskich pogańskie bóstwa, satyry, ohydne zwierzęta, rośliny, zarówno do wody jak do ziemi należące. Tu jakiś najnędzniejszego pędzla obraz, niezgrabnie przedstawiający bitwę pod Grünwaldem, lub ową oklepaną scenę złém sąsiedztwem trapionego Saryusza, tu znów mistrzowska kopja Madonny Rafaela, wielkich rozmiarów lustro weneckie, lub florencka mozajka; ale tak wszystko pomięszane, że oko znawcy ginęło w tym chaosie prawdziwych dzieł sztuki i ciężko bogatych niesmacznych ozdób. Ale też w owych augustowskich czasach, rzadko się pojawiał u nas znawca, a jeżeli się znalazł, wsród huku dział, rabunków i pustoszeń wojsk najezdniczych, gwaru i kłótni stronnictw, nieładu konfederacji i sejmów zrywanych, gdy Polska była tylko wielkiém rumowiskiem lub powszechnym obozem i znawstwa i sztuki i udatnego urządzenia własnego kącika odechciało mu się. W zamian doborowych zbiorów dzieł sztuki i przemysłu, w większych i mniejszych rezydencjach panów, dworach i dworkach szlachty, nie rzadko można było oglądać mniéj więcéj bogate zbrojownie, a przynajmniéj porozrzucane w każdym niemal kącie kosztowne bronie; wszędzie wrzał duch wojowniczy, duch pomszczenia siłą prawdziwéj lub urojonéj krzywdy. Nie było, jak w wielu miejscach, osobnéj w zamku Nasielskim zbrojowni, ale począwszy od przedsionka, na każdém miejscu błyszczały wśród obrazów i luster, stare szable, proporce, buńczuki, pancerze, przyłbice tatarskie, oraz tureckie i szwedzkie bronie, na nieprzyjacielu Rzeczypospolitéj zdobyte. Jak wszędzie u zamożniejszéj szlachty, tak i w Nasielskim zamku, była sala przeznaczona na zachowanie pamiątek rodzinnych. Na pierwszém miejscu stał wizerunek naddziada starosty Ostrowskiego, Stefana, hetmana ziemi Siedmiogrodzkiéj. Zrobiony był olejno, w małéj postaci, wyobrażającéj rycerza ze spuszczoną przyłbicą, powalającego konnego pohańca, kolejno wroga, lub sprzymierzeńca Siedmiogrodu. Obok zawieszoną była dzida, którą według rodzinnego podania, syn jego Feliks w bitwie pod Połockiem, ocalił życie walecznemu królowi naszemu Stefanowi Batoremu, za co kasztelanją Ciechanowską obdarowany został. Daléj jeszcze podarki od dwóch królów: Stefana Batorego i Zygmunta IIIgo, za bitwy przeciw Moskwie, jako to: szabla z szczerozłotą, drogiemi kamieniami wysadzaną rękojeścią, cały rząd na konia, wraz z kulbaką, srebrny pozłacany. Daléj jeszcze, była kielnia także srebrna, którą Wojciech chorąży koronny, kilkakrotnie poseł Rzeczypospolitéj przy obcych dworach, pierwszą wmurował cegłę na klasztor OO. Karmelitów bosych w Warszawie, zwany wówczas *Bazyliką Eliaszową*, który własnym kosztem wystawił i stosownemi funduszami uposażył.

Na uboczu w téj saméj sali, stał obraz wielkich rozmiarów przedstawiający dziadka Józefata Wessla z linji macierzystéj, hrabiego Staremberga, Jenerała gubernatora Wiednia. W czasie oblężenia tegoż miasta przez Turków Leopold I-szy uciekłszy z zagrożonéj stolicy, powierzył jéj obronę swemu dawnemu ochmistrzowi, hrabiemu Starembergowi, który na czele dwudziestotysięcznego korpusu, potrafił ją utrzymać do chwili przybycia wielkiego wybawcy, Jana III. Po cudownéj odsieczy, Staremberg przyjmował bohatérskiego króla na gruzach fortyfikacji miasta i towarzyszył mu w tryumfalnym pochodzie, przez główne ulice stolicy Niemiec, wśród entuzjazmu i krzyków radości, tłumnie zebranych na drodze, wdzięcznych wówczas wiedeńczyków, do kościoła Augustyanów, gdzie sam król zaintonował *Te Deum* dziękczynne. Leopold, w bezprzykładnéj swéj zawiści, chcąc udać, że wielką część zasługi obrony stolicy przypisuje swemu ochmistrzowi, mianował go dowódcą całéj swéj piechoty, feldmarszałkiem, radcą tajnym, dał mu 100,000 złotych reńskich rocznego dochodu i orderem Złotego Runa go ozdobił. Sta-

remberg upojony łaską swego wychowańca, idąc za jego natchnieniem, łatwo zapomniał, komu wyłącznie zawdzięczał tyle zaszczytów. W dalszym ciągu wojny, starał się ile możności psuć i paraliżować plany króla polskiego, już przez tajemne zabiegi w utrudzaniu dowozu żywności i furażu dla wojska, już też w układach z Węgrami. Ci ostatni Jana IIIgo obrali za swego z cesarzem pośrednika i podawali warunki pokoju, które Leopold bez uwłoczenia swéj godności mógł przyjąć. Staremberg śmiał w obecności króla im grozić, przemawiając do nich mową w któréj nie szczędził wyrazów *kat*, *szubienica* i t. p., na co Sobieski słusznie obruszony, z powagą wielkiego monarchy, będącego na czele niezwyciężonych swych hufców, powstał i zgromił dumnego ministra. Józefat Wessel starosta Ostrowski, dziedzic Nasielska, testamentem ojca swego Stanisława, w Wiedniu, jak wiemy sporządzonym, został mianowany wraz z braćmi młodszymi, dziedzicem wszelkich dóbr i nieruchomości po nim pozostałych, z zastrzeżeniem aby summy kapitalne, własnością Marji zostały i procent od nich regularnie jéj był wypłacany od daty śmierci testatora. Summy te wynosiły około milijona złotych monety dzisiejszéj, co w owych czasach bardzo znaczne stanowiło wiano. Józefat Wessel w pierwszéj młodości, nader rzadko, a późniéj wcale siostry nie widywał. Nieszczęśliwe położenie kraju rozdzielonego na mnogie stronnictwa, było powodem téj pozornéj członków rodziny Wesslów między sobą oziębłości. Józefat lat 12 od siostry starszy, po chwalebnie ukończonych w szkole głównéj krakowskiéj naukach, zwyczajem ówczesnéj zamożniejszéj młodzieży polskiéj, podróżował za granicą. Po śmierci Jana III, na pierwszy odgłos gotującéj się nowéj elekcji, powrócił do kraju, ale z wyobrażeniami, które już w owych czasach dobrze myśląca młodzież z obczyzny przywoziła o rządzie i instytucjach politycznych, o potrzebie poprawy Rzeczypospolitéj, rozszerzenia władzy królewskiéj, skupienia jéj w osobie monarchy dziedzicznego, uporządkowania żywiołów prawodawczych i t. p. Z początku, Józefat idąc w duchu tradycji swych przodków, nachylał się do stronnictwa Sobieskich, tuszył sobie nawet, że w téj rodzinie, któréj nazwisko samo jest dobrą dla kraju wróżbą, ustali się korona, że naród, jak za błogich Jagiellońskich czasów, uniknie tych opłakanych elekcji, otwierających pole do wewnętrznych zamieszek, oraz tak obcych jak swojskich pokuszeń i ambicji. Ale doświadczenie mu inną wskazało drogę. Niegodny szafunek korony polskiéj i rozrządzenie nią bez woli i wiedzy narodu Aleksandra Sobieskiego, przyjęcie w takich warunkach najwyższéj władzy przez Leszczyńskiego, odstręczyło nieodwołalnie Józefata od nich i nachyliło ku stronnictwu sasa, do którego należała rodzina żony jego. Od téj chwili zaczął stanowczo na korzyść Augusta działać i jako poseł na sejmie lubelskim, gorzko wyrzucał prymasowi Radziejowskiemu, jego skwapliwość do wszelkich na szkodę kraju zmian, odrzucił ofiarowane sobie krzesło senatorskie w czasie koronacji Stanisława; zaś po traktacie Altransztadskim porzucił na zawsze sprawy publiczne i osiadł na uboczu w zamku Nasielskim, gdzie się oddał życiu prywatnemu, porządkowaniu własnych interesów i rolnictwu, które głównie sobie upodobał. Józefat idąc za skłonnością serca, połączył się przed kilku laty z Konkordją Tazinówną, z któréj żadnego nie zostawił potomstwa. Starościna Ostrowska była to matrona, jakich w czasach przed augustowskich, do których jeszcze należała, było bardzo wiele; jedna z owych niewiast prostych na duchu, ale silnych sercem i uczuciem, żyjących jedynie dla rodziny, domowników i biednych. Pełna gruntownéj pobożności i rozsądku, przejęta ważnemi obowiązkami żony i gospodyni, całe szczęście i wszystkie cele życia, mieściła wśród czterech ścian swego domu. Kochała i czciła męża, jego wola była najświętszém dla niéj prawem, odgadywała jego myśli i chęci, on się jéj odpłacał nieograniczonem zaufaniem, polegał na jéj zdaniu i nic ważniejszego nie przedsiębrał bez wspólnéj z nią narady. Konkordja, lubo bardzo na owe czasy zamożna, nie wstydziła się domowych zajęć. Codziennie w pewnych uprzywilejowanych godzinach, otoczona pannami dworskiemi i służebnemi, przędła len i konopie, szyła koszule z grubego szarego płótna dla

dworskich parobków, obchodziła obory i stajnie, w których pod jéj troskliwém okiem wzorowy zachowany był porządek. Na wzór dawnych Polek, była wielce miłosierną i dobroczynną. Założyła szpital w Nasielsku, była fundatorką kilku kościołów i bractw pobożnych, nie przewidywała w swéj poczciwéj szczerocie, że kiedyś, w lat sto pięćdziesiąt późniéj, uczynki miłosierdzia uważane będą za czyny heroiczne, o których głosić ma potomność, lub za błyskotki mające służyć wraz z brylantami, perłami, szalami i koronkami, za narzędzie mody i próżności.

W drugiéj połowie lutego późno już wieczorem, starościna siedziała wraz z swemi służebnemi w wielkiéj izbie trzeciego piętra, zajęta odbieraniem roboty całodziennéj i naznaczaniem nowéj na dzień następny, gdy wszedł dworzanin meldując że pan starosta prosi, aby zeszła do niego, gdyż ma jéj udzielić bardzo ważną wiadomość. Życie w Nasielsku było tak ciche i jednostajne, że każda nowina była tu nadzwyczajnością. Przestraszona nieco, a może zaciekawiona starościna, zapytała dworzanina czy Jegomość nie jest chory? a odebrawszy zaspakajającą odpowiedź, zeszła szybko na dół i z ostrożnością roztworzyła drzwi jego sypialni.

Starosta, z wyrazem twarzy nieco zakłopotanym, przechadzał się szerokim krokiem po komnacie i trzymał list w ręku.

— Siadajcież pani żono — rzekł — i posłuchajcie mnie uważnie. Oto w téj chwili odbieram list od siostry mojéj Marji, która jak wam wiadomo, zostawała dotąd jako panna dworska, przy królewicowéj Jakóbowéj w Olawie. Otóż nie wiem z jakiego powodu odjechała ztamtąd; jest w Warszawie u PP. Sakramentek, zkąd pisze i prosi bardzo Waszmości, abyś po nią przyjechała, gdyż życzy sobie zamieszkać z nami w Nasielsku. Jakkolwiek cieszy mnie, że nabywszy się do sytu w pańskich i królewskich progach, nie gardzi moją szlachecką chudobą, dziwi mnie, a nawet nie pomału niepokoi ten nagły wyjazd z Olawy. Wszak nie zbyt dawno dochodziły nas wieści, że jest w wielkich u królewicowéj faworach. Cokolwiek się stało, powinniśmy myśleć o najgościniejszém siostry naszéj przyjęciu, chociaż dla tego, że dom nasz nad inne preferowała.

— Wysoki nam robi starościanka fawor—odrzekła Konkordja —że na wielkim nauczona żyć świecie, samotność naszą dzielić pragnie. Dziękuję waszmości, żeś mnie o téj decyzyi uprzedził, muszę przysposobić dla niéj wygodne pomieszkanie. Ale nie wiem jak to będzie — dodała zakłopotana — gdyż piece dymią w gościnnych pokojach; jakoś od przechodu szwedów na Litwę nie wiele gości zamek nawiedza, czekałam więc wiosny na tę rujnacją.

— Nic to nie szkodzi, poszlij Waszmość po marszałka, daj mu polecenie aby dopilnował najspieszniejszéj reparacji, a sama wybieraj się do Warszawy. Pisze mi siostra, że służebna królewicowéj, która ją do Warszawy odwiozła, odjechała już napowrót do Olawy, nie byłoby zatém przyzwoicie, aby tak młoda panna sama podróż odbywała.

— Będzie wedle waszéj woli panie mężu, ale powiedzcie mi, na jak długo będę musiała wydalić się z domu?

— Sądzę — odpowiedział starosta — że czwartego dnia powinnyście tu już być z powrotem z Marją. Nakaże podstarościemu Rożańskiemu, aby Waszmościom konie porozstawiał; jedną noc się zatrzymacie tylko w Warszawie.

— Pozwólże mi Waszmość dopiero pojutrze wyjechać, gdyż muszę roboty pannom dworskim i służebnym na cztery dni wyznaczyć; płótno na koszule do szpitala już jest pokrajane, pogubiłyby panny kawałki, wszystko poszłoby na marne i stałaby się nam szkoda.

— Jak Waszmość zrobisz, tak będzie dobrze.

Po téj małżeńskiéj naradzie, starosta usiadł do biórka, aby napisać do podstarościego Rożańskiego list, z którym miał nazajutrz skoro świt wysłać hajduka, a Konkordja, któréj się zdawało, że ma zamorską odbyć podróż, pospieszyła na górę, aby stosowne do niespodziewanego swego wyjazdu zrobić rozporządzenia.

Na trzeci dzień, ledwie słońce wyjrzało, z za gęstych strzelnic zamku, zaszła sześciokonna, domorodna, na długich pa-

sach i wysokich kołach kolasa i wsiadła w nią starościna w towarzystwie jednéj panny dworskiéj. Nie obeszło się wpierw bez serdecznych z mężem i domownikami pożegnań, troskliwych przestróg i zaleceń owych tysiąca szczegółów, tyczących się ich zdrowia i wygód, a w końcu wysłuchania Mszy Świętéj i błogosławieństwa kapłana

żyć, wylotów i litego słuckiego pasa misternie i wdzięcznie ułożyć i zawiązać. Ale jak to bywa na tym Bożym świecie, wszystko złe i dobre ma swój koniec. Piątego dnia po odjeździe starościny, zajechała z trzaskiem na brukowany zamkowy dziedziniec taż sama kolasa, z dwoma na koźle hajdukami, poprzedzona koniuszym. Wysia-



Uklękła przed braterstwem, prosząc aby jéj przyszły związek w imieniu zgasłych rodziców pobłogosławili.

Po wyjezdzie Konkordji, mąż jéj zmienił zupełnie humor; był zły, zrzędny, wszystko mu było przykre i niewygodne, jak to mówią miejsca sobie nie umiał znaleźć, pozbawiony tych codziennych każdochwilowych usług i starań, które mu się w nałóg obróciły. W nieobecności żony, nie miał mu kto ulubionéj piwnéj polewki zaprawić, luleczki z długim cybuchem nało-

dła z niéj starościna z Marją, która rzuciła się z płaczem w objęcia brata.

— Bądźcie mi ojcem i bratem — zawołała — gdyż jestem sierotą opuszczoną od całego świata.

— Dziękuję wam—odrzekł rozczulony Józefat — żeście raczyli wspomnieć sobie o waszym bracie i słudze. Poczem wszyscy pospieszyli do przeznaczonych dla panny

staróścianki i pięknie na jéj przyjęcie, o ile krótkość czasu i miejscowość pozwoliła, urządzonych komnat.

Wieczór przepędzili wszyscy troje w kółku rodzinném, w sypialni staróściny. Marja opowiedziała braterstwu dzieje swego życia od czasu wyjazdu z klasztoru, pobyt w Olawie, w Wiedniu, stosunki swe z królewicową, powód jéj nieukontentowania, a w skutek tego gorącą swą chęć powrotu na łono rodzinne. Gdy przyszło mówić o królewicu i jego miłości, zapłoniła się żywo, brat bystro na nią spojrzał i brwi zmarszczył. Spostrzegłszy to staróścianka, nie lękajcie się—zawołała — siostra wasza nic takiego nie zrobiła i nie zrobi, coby było niegodném miana polskiéj szlachcianki. Tu opowiedziała mu w najdrobniejszych szczegółach wszystkie okoliczności, tyczące się królewica, ich dziecinne zabawy w Willanowie, pierwsze widzenie się w Wiedniu i objawioną chęć poślubienia jéj i wyjednania pozwolenia na ten związek królowéj matki i królewica Jakóba. Gdy Marja wymieniała nazwiska tych dwóch osób, mocniéj się jeszcze zapłoniła, gdyż nie była sama pewną, czy się nie łudzi w swych, co do ich przyzwolenia nadziejach. Starosta, czy nie chciał widzieć, czy téż rzeczywiście nie dostrzegł jéj zakłopotania, dość, że zdawał się zadowolony z ostatniéj części opowiadania. Znikły zmarszczki z jego czoła, powrócił mu dobry humor i wpatrywał się z rozkoszą w siostrę zważając że rysy jéj były wierném odbiciem rysów matki, któréj pamięć drogą mu była.

Już piąty tydzień ubiegał od czasu przybycia Marji do zamku Nasielskiego, gdy dnia jednego, w czasie nieustannych deszczów i wichrów spóźnionéj jesiennéj pory, gdy staróścianka siedząc przy kominku zajętą była robotą w krosnach, wszedł dworzanin meldując przybyłego kwestarza, który prosił panny staróścianki o posłuchanie. Kwestarze byli zwykli i pożądani goście Nasielskiego zamku, gdzie zawsze przyjęci szczerze i obdarowani bywali, już z wrodzonéj gospodarstwu gościnności, już téż, że w owym czasie, niepokojów i zmian politycznych, w braku gazet i komunikacji, byli oni jedynemi roznosicielani wiadomości i nowin, tak prywatnych jako i politycznych. Kazała więc Marja poprosić braciszka, ale jakież było jéj zadziwienie, gdy pod zakonną skromną suknią, poznała królewica Konstantego. Któż zdoła opisać jéj wzruszenie!..... Nastąpiło długie, przeciągłe milczenie, które staróścianka przerwała w końcu, zapytując drżącym i niepewnym głosem, o powód przybycia księcia i przywdziania tak dziwnego stroju.

— Nie gniewajcie się i chciejcie mnie wysłuchać — odpowiedział królewic. — Przypomnijcie sobie, że w liście moim na prędce do Zofii Leszczyńskiéj ołówkiem skreślonym, donosiłem wam, że się wkrótce zobaczymy; jak widzicie, dotrzymuję słowa. Musiałem przybrać niewłaściwy mi ubiór, bo równie nie chcę być poznanym od stronników Augusta, jak od przyjaciół dziś łaskawie panującego nam Stanisława Leszczyńskiego. Nie wiem nawet, czybym jeszcze nie przekładał mego więzienia, nad honory, oddawane przez wiarołomnego stronnika, który wbrew własnemu słowu i uroczystéj własnoręcznéj deklaracji, przywłaszczył sobie koronę, do któréj brat mój z woli narodu miał słuszne prawo. Pod tą suknią nikt mnie nie poznaje, wszyscy mniemają że jestem w okolicy Gdańska, ale nie o to mi dziś głównie idzie. Przybyłem do tego zamku, gdzie schroniliście się przed moją miłością, aby wam dać najświętsze słowo żołnierza i polaka, że go nie opuszczę, dopóki nie otrzymam przyrzeczenia, że żoną moją będziecie.

Tu Marja chciała przerwać mowę księciu.—Posłuchajcie mnie, — zawołał — bo chwili jednéj nie mamy do stracenia. Nazwisko które noszę, wkłada na mnie święte i wielkie obowiązki. Nie wypada mi wracać do Olawy, ani téż zamieszkać w krajach Rzeczypospolitéj, pozostaję więc w Gdańsku, jako w mieście ogłoszoném za wolne i gdzie ostatecznie zamieszkałem. Gdy w tém samotném ustroniu, losy moje dzielić będziecie, nikt was nie pomówi o dumę lub chciwość. Brat mój Aleksander samowolnie odepchnął od rodziny naszéj tę koronę, którą ojciec nam przekazał wraz ze sławą swoją; stałem się dziś prywatnym człowiekiem, a zatém równym wam w honorach i dostojeństwie. Trzeba, abyście

z bratem waszym i bratową przybyli do Gdańska, gdzie się połączymy świętym i nierozdzielnym węzłem.

— Zapomnieliście mości książę -- odrzekła wreście Marja — że ojciec mój testamentem, naznaczył księcia Jakóba opiekunem moim, czyż mi wypada postąpić przeciw woli jego?....

— Ojciec wasz nie mógł przewidzieć przyszłości; a dziś, gdyby mu było pozwolone czytać w sercu mojém, nie wątpię, że chętnieby na najdroższe moje życzenia przyzwolił. Nadto, jeżeli mi powiecie, że szczęśliwą ze mną być nie możecie, umrę z rozpaczy, ale od dzisiaj przestanę myśleć o was.

Ciężko zagadniona Marja czując, że sama bez pomocy brata nie wydobędzie się z tego kłopotliwego położenia, prosiła królewica, aby na chwilę pozostał w jéj pokoju, a modląc się po cichu i święte relikwie, dane jéj przez matkę Delorme całując, zeszła na dół do starosty, którego zastała samego. Zamknęła drzwi jego komnaty na klucz i opowiedziała mu przybycie królewica, jego przebranie i całą z nią rozmowę.

Starosta słuchał z uwagą, ale gniew i niecierpliwość z oczów mu tryskały.

— A więc on tu jest i tu Waszmość znalazł, aby okryć hańbą dom mój dotąd niepokalany—zawołał podnosząc głos. — Ja w całą tę historję miłości i małżeństwa nie wierzę. Ci ludzie durzą was, jak przez lat dwanaście cały naród fałszywemi cnotami i fałszywą kandydaturą durzyli.

To powiedziawszy głosem drżącym od gniewu starosta umilkł; zdawał się szukać czegoś, a rzuciwszy okiem na turecką szablę wiszącą nad łóżkiem, tuż pod obrazem Matki Boskiéj i ukrzyżowanego Pana Jezusa, chwycił ją nagle i ku drzwiom poskoczył.

Marja lubo drżąc od strachu, zdołała jednakże zatrzymać brata, błagając go, aby wysłuchał prawdy, nim zechce wykonać co zamyśla. Zapamiętały starosta nie słuchał jéj proźby i na pół bezprzytomną dziewczynę sadzając na krześle, pobiegł znów ku drzwiom, które właśnie w téj chwili uchyliły się zwolna, przepuszczając wchodzącego królewica.

Lubo ukryty pod habitem ubogiego zakonnika, książę Konstanty miał tak ujmującą i wspaniałą postawę, że starosta stanął jak wryty, słowa nie mogąc powiedzieć. Królewic pierwszy przerwał milczenie:

— Panie starosto — rzekł poważnie— jestem Konstanty królewic polski, nie pokazuję się wam w właściwym stroju, gdyż nie chcę być poznanym; przychodzę prosić was o rękę panny starościanki Różańskiéj, siostry waszéj. Jestem pełnoletni i według praw Rzeczypospolitéj mogę osobą moją rozrządzić. Okoliczności są przykre, wojenne, do tego znajduję się osobiście w wyjątkowém położeniu, dla tego nie używam tu zwyczajnych formalności, do oświadczenia wam najdroższych dla serca mego życzeń i nadziei.

Słowa te, wyrzeczone tonem pełnym szczerości, rozbroiły starostę, który wśród wielu ukłonów i submisji, uczynił uwagę, że jego siostra zależy od opiekuna swego księcia Jakóba.

— Mylicie się — odrzekł królewic — panna starościanka jest już pełnoletnią i jedynie zależy od siebie.

— Ale cóż na to powié krolowa matka?.....rzekł Józefat.

— Moja matka błogosławić będzie związkowi, który zapewni mi szczęście.

Te ostatnie słowa wyrzekł zapewne królewic bez wewnętrznego przekonania, lecz pragnął przedewszystkiém nakłonić starostę do swych życzeń, co mu się téż w zupełności udało, lubo nie bez pewnych ze strony Józefata przełożeń. Stanęło tedy, że za trzy tygodnie, to jest na dzień 6 listopada, zjadą starostwo z Marją do Gdańska, gdzie państwo młodzi mieli zamieszkać w pałacu miejscowym królewica. Po godzinie rozmowy, książę, któremu ciężył habit zakonny, przebrał się w suknie starosty i zajął mieszkanie obok jego komnaty, w wielkiéj sklepionéj sali, w któréj był zachowany domowy skarbiec, od którego klucz był u saméj starościny.

Nastąpiły ciche zaręczyny; królewic ofiarował Marji swój wizerunek, przedstawiający go w stroju, jaki nosił w bitwie pod Podhajcami gdzie się odznaczył na czele swéj chorągwi. Portret, jako i pierścień zaręczynowy, bogato soliterami wielkiéj wartości przyozdobione były. Marja ofiarowała księciu pamiątkowy pierścień, który miała

po matce, a który jéj kiedyś także służył do obrzędu zaręczyn. Królewic zabawił trzy dni w zamku, poczem pożegnawszy Marję i starostwo, w téj saméj zakonnéj sukni udał się napowrót do Gdańska. Przed odjazdem królewica, Marja nieustannie skrupułami sumienia trapiona, prosiła, aby im dawał ślub zamieszkały w Wiedniu ojciec Ferdynand, który kiedyś udzielał staroście Rożańskiemu ostatnie Sakramenta. Ojciec Ferdynand był obecny przy spisywaniu testamentu starosty, a nawet gdy sparaliżowana ręka chorego, ostatniego już kodycyllu podpisać nie była w stanie, z wolą i za upoważnieniem jego, dokonał téj czynności. Królewic przyrzekł Marji, że uczyni zadosyć jéj życzeniu, co ją też nieco uspokoiło. Zdawało jéj się, że gdy ta sama ręka, która starostę w ostatniéj czynności zastępowała, błogosławić będzie jéj związkowi z królewicem, ojciec z łona wieczności potwierdzi go także i błogosławić mu będzie. Nadto prosiła Marja, aby jedyny pozostały jéj ze strony matki krewny, jenerał Staremberg, jako świadek obrzędowi ślubnemu był obecny.

Skrzywił się na to ostatnie życzenie, nieco do zazdrości skłonny narzeczony, ale widząc stanowcze Marji postanowienie, nie śmiał mu się sprzeciwić. Przy odjeździe królewica, Marja mu dała listy do ojca Ferdynanda i do generała Staremberga, które miały być umyślnym kurjerem do Wiednia wysłane.

Krótki był bardzo termin do ślubu. Marja z pomocą swéj bratowéj zajęła sie koniecznemi do zmiany stanu przygotowaniami, które z powodu krótkości czasu nie mogły być tak wielkie, jak zwyczaje tradycjonalną formą uświęcone tego wymagały. Przygotowania te odbyć się musiały w jak najściślejszéj tajemnicy, gdyż królewic ciężkiem doświadczeniem nauczony, w owych niepewnych jeszcze czasach, chciał jak najmniéj uwagi publicznéj na siebie zwracać. Gdy przyszedł dzień wyjazdu, Marja wbieli i wzielonym wieńcu na skroni, zalana łzami uklękła przed braterstwem, prosząc, aby jéj przyszły związek w imieniu zgasłych rodziców pobłogosławili, co też starostwo uczynili z całą staropolską solennością i powagą. W przejeździe do Gdańska, nasi podróżni zboczyli do Warszawy; Marja życzyła sobie odwiedzić i pożegnać wierne swe przyjaciołki PP. Sakramentki, które przejęte, *wysokim aliansem* swéj wychowanki, ze łzami radości błogosławiły jéj i oddawały już zawczasu honory królewskie.

Po pięciu dniach złéj i mozolnéj drogi, nasi podróżni przybyli do Gdańska, gdzie wysiedli w domu w środku miasta położonym, który królewic nająć i jak można było najwykwintniéj dla nich urządzić kazał, sam zaś zamieszkał prywatnie pałac za rogatkami miasta, do prowentu dóbr jego należący, gdyż nie przyjął ofiarowanego sobie przez magistrat, królewskiego mieszkania w ratuszu.

(*D. c. n.*)

WYJĄTKI Z DZIENNIKA JEDNEGO Z OFICERÓW MARYNARKI ANGIELSKIÉJ.

Niéma zapewne nikogo interesującego się ważniejszemi wypadkami naszych czasów, komuby imie Sir Johna Franklina znaném nie było. Któż niesłyszał o celu głośnéj jego wyprawy, dla sprawdzenia zadania jeograficznego, dotąd wątpliwego, czyli jest możebność przepłynięcia przy biegunie północnym od strony Grenlandji i górnéj Kanady, na stronę zachodnią Ameryki ku cieśninie Behringa na przeciwko Azji. Znany jest także powszechnie los téj ekspedycji, która wypłynąwszy w roku 1845 z Anglji, na dwóch stosownie uzbrojonych i we wszystko zaopatrzonych okrętach, z załogą stukilkudziesięciu ludzi, zginęła bez wieści.

Rząd angielski nie szczędził kosztów i starań, aby ratować tych ludzi odważnych i pełnych poświęcenia dla nauki. W celu ich odszukania wyprawiał kilka ekspedycji jedne po drugich, ale wszystkie wracały bez pożądanego skutku.

Oto co mówi o tych wyprawach oficer marynarki, należący do ostatniéj wycieczki w te kraje śniegu i lodu:

„Ostatnia wyprawa przez rząd wysłana na odszukanie Franklina, powróciła 1854 roku, nie przywiozłszy innéj wieści jak tylko tę, że zaginione okręta przepędziły pierwszą zimę z 1845 na 46 na wyspie *Beechey*, i że odpłynęły z téj wyspy, niezostawując śladu zkąd przyjechały i w którą udały się stronę. W chwili powrotu ostatniéj wyprawy, wojna z Rossją tak mocno zajmowała uwagę publiczną, że Admiralicja zadecydowała już dalszych nie czynić kroków, na odszukanie naszych biédnych żeglarzy. Franklina z wiosną 1850 roku, że ludzie ci udali się na południe i że podobno w końcu tegoż roku, wszyscy wymarli przy ujściu wielkiéj rzeki którą dr. Rae właśnie ową *Great Fish River* być mniemał.

W 1855 roku w skutek polecenia Admiralicji, kompanja Hudson Bay wysłała wyprawę pod dowództwem pana Andersona, dla zrobienia ścisłych poszukiwań nad brzegami i przy ujściu rzeki Fish River. P. Anderson powrócił sprawdziwszy, że istotnie widziano kilkudziesięciu rozbitków, przy



Odjazd wyprawy z portu Kennedy.

i jego towarzyszy uznano za zgubionych, a wszelkie nowe poszukiwania za nieużyteczne. Lecz wielu znakomitych marynarzy, wielu przyjaciół Franklina i głos publiczny sądzili inaczéj. Poszukiwania poprzednich ekspedycji z taką wytrwałością i sumiennością były prowadzone, że tylko część kraju leżąca w bliskoścj wielkiéj rzeki *Fish River* nazwanéj, jeszcze eksplorowaną nie była.

W końcu 1854 roku doktor Rae, sławny podróżnik, dla kompanji Hudson Bay wycieczki robiący w celu oznaczenia kończyn północnéj Ameryki, przywiózł wieść od eskimosów, mieszkających na wyspie *Boothia*, że 40 białych ludzi widziano na zachodnim brzegu King William Land, ujściu téj rzeki na wyspie *Montreal*, ale ponieważ Anderson inaczéj jak na migi z eskimosami rozmówić się nie mógł, żadnych nowych szczegółów o losie Franklina i jego towarzyszy nie przywiózł.

Wówczas to lady Franklin (któréj kosztem i staraniem urządzono trzy oddzielne wyprawy na Ocean północny), zaczęła naglić i organizować nową, ostatnią wyprawę, ażeby męża swego i ziomków naszych, jeśli jeszcze żyli, nie zostawiać bez ratunku. Jakkolwiek jednak lady Franklin popierana była przez ludzi wpływu i doświadczonych marynarzy, cały rok 1856 upłynął na próżnych staraniach; nie chcąc więc dalszéj dopuścić zwłoki, lady Franklin raz

jeszcze odpowiedzialność i koszta nowéj wyprawy postanowiła wziąść na siebie, ażeby naszych dawno zaginionych marynarzy uwolnić za życia, jeśli się u eskimosów znajdują, albo jeśli zaś wszyscy zginęli, aby wyśledzić ostatnie ich kroki na téj ziemi, i dać poznać uczonemu światu, owoce tych prac i poszukiwań, dla których ci bohaterowie życie swe położyli.

Z wiosną 1857 roku lady Franklin czynnie się wzięła do dzieła, wspierana radami i pomocą przyjaciół swego męża. Kapitanowi M'Clintock [1]), który trzy razy odprawiał podróże na Ocean północny w tym ważnym celu i któremu szczególniéj zawdzięczano wiadomości, jakie dotąd powzięto o Franklinie, powierzono dowództwo téj wyprawy; kapitan M' Clintock z gotowością podjął się téj niebezpiecznéj missji, uważając ją za zaszczytną i jak sam się wyrażał, za *służbę honorową*. Zajęto się następnie wyszukaniem stosownego okrętu. Trafił się właśnie statek parowy, odpowiadający wymaganiom tak niebezpiecznéj żeglugi, który kupiono niezwłocznie. Statek ten nazwany *Fox*, mógł pomieścić 180 beczek ciężaru. Wszelkie potrzebne wzmocnienia i dodatki na okręcie czynić poczęto, a zaufanie w zdolności, nieustraszoną odwagę i prawość kapitana M'Clintock tak było powszechne, że widziano wielu marynarzy ubiegających się o honor służenia pod jego rozkazami. Tym którzy mieli szczęście być wybranemi przez kapitana, przeznaczono zaraz stosowne do usposobień zajęcia, a staraniem lady Franklin i zacnego dowódzcy, okręt nasz tak był zaopatrzony, że nie tylko o wygodach naszych, ale nawet o dostarczeniu nam rozrywek w czasie podróży pomyślano. Pod koniec Czerwca Fox był gotów do drogi. Zamiarem naszym było zatrzymać się naprzód na brzegach Grenlandji, aby tam nabyć zaprzęgi i psów do sanek, oraz niektóre zapasy żywności. Następnie mieliśmy zamiar, przepłynąwszy cieśninę Bellota dostać się do wielkiéj rzeki Fiśh River; tam przez część lata 1857 i następującą wiosnę, zwiedzać szczegółowo tę część kraju i tym sposobem dopełniwszy poprzednich poszukiwań, powrócić do Anglji albo przez cieśninę Behringa, albo tą samą drogą, którąśmy do krajów tych przybyli. Gdyby zaś nie udało się nam dopłynąć do *King William Land i Fish River*, to spodziewaliśmy się jak najbliżéj tych dwóch miejsc zimować i po ustaleniu się lodu, rozpocząć wycieczki nasze tak, aby z wiosną je zakończyć i jeszcze tego samego roku do ojczyzny powrócić; jak nadzieje nasze zawiedzionemi zostały, dalsze opowiadanie pokaże.

Wypłynęliśmy z Aberdeen 1go Lipca 1857 roku; po szybkim i pomyślnym przebyciu Atlantyku, pierwsza nasza znajomość z północnemi strefami, była w bliskości przylądka *Farewell* w Grenlandji, gdzieśmy spotkali góry lodu płynące i pokryte tysiącami drzew sosnowych, pochodzących z brzegów Szpicbergu. Góry te lodowe tak są ogromne, że zajmują niekiedy przestrzeń stu mil angielskich i w pewnych porach roku zapełniają wszystkie porty i przystanie na południowych brzegach Grenlandji. W roku 1777 cała flotta trudniąca się połowem wielorybów, porwaną została takiemi lodami na 76 szerokości północnéj i pędzona z niezmierną szybkością ku południowi. Okręta jeden po drugim druzgotane były przez lody, aż ostatni z nich przypłynął do cieśniny Dawisa w bliskości przylądka Farewel, gdzie załoga jego zdołała ratować się ucieczką przez lody, ale z liczby 450 ludzi, tylko 116stu zostało przy życiu. My jednak nie mieliśmy powodu lękać się podobnego losu, lato bowiem miało się ku końcowi w tych strefach, a parowiec nasz silnie był zbudowany; płynęliśmy więc daléj i 13go Lipca ujrzeliśmy brzegi Grenlandji w całéj ich dzikiéj wspaniałości. Czas zaczął się zmieniać, gęsta mgła i coraz więcéj zbierające się bryły lodu, utrudniały wielce nasz postęp i tylko bardzo zwolna i ostrożnie posuwaliśmy się daléj. Z tych powodów, zbliżając się do portu Fridrichshaab, musieliśmy sygnałem wezwać pomocy miejscowych marynarzy, których wkrótce cała flotta wypłynęła na nasze spotkanie, 19 Lipca zawinęliśmy do tego portu. Zakupiwszy, prawie za bezcen, znaczną ilość sztokfiszu i doświadczywszy wszelkich pomocy i ułatwień, ze strony władz duńskich, odpłynęliśmy daléj. Przez kilka dni

[1]) Czytaj Maklintok.

silny wiatr północny i wzmagające się bryły lodu trzymały nas w bliskości lądu, a gdyśmy spostrzegli, że jeden maszt nam pękł i że późniéj coraz nam trudniéj byłoby temu zaradzić, musieliśmy zawinąć do portu Fi skernaas, a potém do portu Godhaab, gdzieśmy powiększyli nasze zapasy i zabrali jednego eskimosa, jako przewodnika. Ostatnim punktem, gdzieśmy jeszcze ślady cywilizowanego świata widzieli, był port Upernavik, gdzie zakupiliśmy około 30stu psów i zapas solonego mięsa foków, a zostawiwszy ostatnie listy do kraju, 3go Sierpnia o południu zaczęliśmy się przedzierać przez bryły lodowe. Nadzieja, że na przyszłą wiosnę wracać będziemy do domu, dobry stan naszego okrętu i ochota z jaką każdy oczekiwał rozpoczęcia czynniejszéj pracy, zdawały się zapowiadać rychłe i pomyślne rozwiązanie tajemnicy o losach Franklina.

Wypłynąwszy z Upernawik, spodziewaliśmy się, że się nam uda, zwróciwszy na zachód, wyminąć zbierające się już massami góry lodowe, ale w nocy z 7go na 8my silny wiatr połączony ze szronem, gwałtownie dąć zaczął i w krótkim czasie zostaliśmy otoczeni lodami tak, że okręt nasz w żadną stronę ruszyć się nie mógł. Nadzieja nie opuszczała nas jeszcze, że przy zmianie wiatru, ponieważ pora nie była tak spóźniona, zdołamy wyswobodzić się od lodów, używszy całéj siły żagli i wypłynąć na otwarte morze; lecz usiłowania nasze były próżne, posunęliśmy się nieco daléj, ale w końcu przewidując nacisk lodu ze wszech stron, musieliśmy odjąć rudel. Przez trzy tygodnie używaliśmy wszelkich sposobów, aby uwolnić się od otaczających nas lodów. Rozsadzaliśmy je prochem lub przerąbywali kanały, ale zwykle mróz silny w ciągu nocy całodzienny trud nasz niszczył i nazajutrz na nowo tę samę pracę rozpoczynać było potrzeba. Widząc nakoniec, że już jesteśmy otoczeni lodami bez ratunku, zaczęliśmy robić przygotowania na zimę.

Oprócz dość licznéj załogi okrętowéj mieliśmy 30stu ogromnych psów do wyżywienia; potrzeba zatém było zaopatrzyć się w mięso, na czas w którym polowanie staje się niepodobném. Staraliśmy się więc o jak największą ilość mięsa foków, w braku innéj zwierzyny, ptastwo bowiem już dawno opuściło te strony, niedźwiedzi zaś, których często po kilku razem przychodziło nam się przypatrywać, nie mogliśmy gonić a następnie zabijać dla nie dość równéj powierzchni lodu.

Kapitan nasz, polecił wszystkie zapasy żywności składać na pokładzie, przyrządzać sanie i wszystko mieć w gotowości na przypadek gdy nam wypadnie opuścić okręt. Byliśmy jednak zdecydowani nie oddalać się od niego bez ostatecznéj potrzeby. Podług spostrzeżeń czynionych i wyrachowań naszych, powinniśmy byli być uwolnieni od lodów w okolicach cieśniny Davisa, sądząc po postępie z jakim posuwaliśmy się ciągle wraz z lodami ku południowi — tak się też stało, ale po upływie długich ośmiu miesięcy — bo przez cały ten czas byliśmy zamknięci lodami. Znajdowaliśmy się między 75° 24′ północnéj szerokości a 64° 31′ zachodniéj długości. Na zachodniéj stronie widzieliśmy ogromny jakby łańcuch gór lodowych, ku którym unoszeni byliśmy stopniowo. Jak przepędziliśmy ośm następnych miesięcy, byłoby zbyteczném i zbyt monotonném opisywać, niektóre jednak wyjątki z mego dziennika pokażą sposób naszego życia wśród lodów.

16 *Września* 1857. Wczoraj minęliśmy góry lodowe nie bez wielkiéj trwogi o całość okrętu, a nawet o nasze życie; co chwila spodziewaliśmy się że się o nie rozbijemy, widząc jak bryły nierównie większe od naszego okrętu, rozpryskiwały się uderzywszy o te skały wodniste — szczęściem żeśmy już je minęli. — Po całych dniach z dubeltówkami na ramieniu, czatujemy nad przerębami na foki — jak który pokaże się dla zachwycenia powietrza, dostaje kulę w same czoło; tak już są teraz tłuste, że z mniejszą zwinnością jak w lecie zanurzają się do wody.

27. *Listopada.* Dzisiejszéj nocy niedźwiedź zbliżył się do okrętu — wypuściliśmy nasze psy, które go zapędziły na cienki lód gdzie się załamał — wszyscy wybiegli z okrętu patrzyć na to polowanie, niektórzy nie ubrawszy się nawet w ciepłe odzienie. — Dziś już nie widzieliśmy wcale słońca — pożegnało ono ostatecznie te strefy na kilka miesięcy. Zaczyna być tak ciemno, że niepodobna już prawie strzelać do foków,

zajmujemy się więc doświadczeniami i spostrzeżeniami astronomicznemi, potrzebnemi do oznaczenia naszéj pozycji i do wyrachowania pędu, z jakim nas prąd ku południowi unosi; robimy także postrzeżenia nad termometrem, barometrem i meteorologiczne.

4. *Grudnia.* Biédny Scolt umarł wczoraj, pochowaliśmy go w przerębie— majtkowie ciało jego ciągnęli na saniach a oficerowie szli pieszo. Noc była niesłychanie zimna— temperatura 35 niżéj zera z silnym wiatrem. Cudna zorza północna (zapowiadająca burzę) przyświecała naszéj drodze. Zaczynamy oswajać się z naszém więzieniem w kajucie. Otworzyliśmy szkołę czytania, pisania i żeglarstwa. Kapitan stara się wszelkiemi sposobami dostarczyć nam zajęcia i jakiéj takiéj rozrywki. Majtkowie budują domy ze śniegu i przyrządzają sanie i zaprzęgi dla psów.

21. *Grudnia.* Dziś przesilenie dnia z nocą; mamy już pół godziny na dzień brzasku, bo tego światłem dziennėm nazwać niemożna, gwiazdy ciągle iskrzą się na północy. Niemożemy już wcale oddalać się od okrętu, bo tak jest ciemno, że można wpaść w szczelinę lodową, lub się o bryłę uderzyć; spacerujemy na pokładzie pod rozciągniętém płótnem po parę godzin na dzień, a resztę czasu przepędzamy jak możemy, dziękując Bogu za każdy dzień upłyniony i za jakie takie schronienie w téj pustyni.

(*Opuszczamy dalszy ciąg wyjątków z dziennika i opowiadania oficera, jako mniej zajmujące i przychodzimy do chwili, kiedy po całym blisko roku, strawionym wśród lodów na próżno, jak to widzieliśmy wyżéj, niezmordowani ci eksploratorowie, na nowo poszukiwania swe rozpocząć zamierzyli*).

Około 25 Maja 1858 roku, (pisze ten sam oficer), byliśmy na nowo gotowi ostatnie zrobić wysilenie, ażeby wyprawa nasza bez żadnego owocu do domu nie wracała. Straciliśmy wprawdzie trochę zaufania we własne siły, w obec tak niesłychanych trudności, ale zdaniem kapitana tak jak i nas wszystkich, było, aby do końca wszelkich używać sposobów, dla osiągnięcia pożądanego celu.

6go *Czerwca* 1858 r. rozpoczęliśmy więc na nowo walkę z lodami, któraby się była bardzo dla nas fatalnie skończyła, gdyby nie ręka Opatrzności, co nas z tak niechybnego niebezpieczeństwa wybawiła. 7go rano gdy wymijając lody, zbliżyliśmy się do brzegów lądu na wysokości zatoki Melwilla, uderzyliśmy o nieznane podwodne skały z taką siłą, że nasz statek na nich uwiązł, przechylił się i gdyby był wówczas przypływ morza, niezawodnie zostałby zatopionym. — Potrafiliśmy jednak z niemałym trudem wydobyć się z tych skał bez szkody.

Po kilku równie niebezpiecznych wypadkach i z wielką trudnością, zdołaliśmy dobić do przylądka York. Tam staraliśmy się porozumiéć z krajowcami, którzy w czasie wyprawy przez doktora Kane, w te strony robionéj, bardzo mu wielkie oddali usługi. Biédacy ci żyją w okropnéj nędzy, żywią się mięsem niedźwiedzi i foków, które zabijają na lodzie strzałami z kości rybich. Są to może jedyni mieszkańcy ziemi, otoczeni prawie zewsząd morzem, a niemający najmniejszéj łodzi lub statku; to odosobnienie ich było powodem, że do roku 1818 uważali się za jedynych mieszkańców kuli ziemskiéj. Dr Kane zostawił im był odjeżdżając eskimosa z Grenlandji, imieniem Hans, z łodzią skórzaną. Na zapytanie nasze co się z nim stało odpowiedzieli nam, że Hans żyje, że się ożenił, ale że łódź musieli zjeść w czasie głodu przeszłéj zimy, gdy już im psów do jedzenia niestało. — Z wielką pożądliwością patrzali oni na nasze skarby w żelaztwach, drzewie i psach; musieliśmy im darować kilka noży i trochę drzewa na oprawę do strzał, a raczéj dzid, które z ogromnych rybich ości robią i które stanowią całą ich broń. Dary te przyjęli z oznakami najżywszéj radości i odjechaliśmy ich tańcujących z ukontentowania. Płynąc około przylądka Dudley Diggs, widzieliśmy wielkie mnóstwo ptastwa, ale czasu nam zabrakło na polowanie, któreby nam było w obfitości świeżego mięsa dostarczyło, co sobie wynagrodziliśmy późniéj, przypłynąwszy do zatoki Ponds, na któréj brzegach dużo nazbieraliśmy ptaków morskich i rośliny *cochlearia*, antiskorbutyczną trawą zwanéj, która tu rośnie w wielkiéj obfitości. Kapitan, robił małą wycieczkę do pobli-

skiéj wioski, ale nic się nowego nie dowiedział; wieści o dawno rozbitym okręcie, który niby w tych stronach miał się znajdować, sprawdziły się w części, ale znalezione szczątki nie należały do okrętów, których poszukiwaliśmy.

Liczba wielorybów w téj porze roku jest w tych stronach tak wielka, że podpływające pod nasz okręt bardzo często niemile czuć się nam dawały, wprawiając go w ruch gwałtowny. Z tego powodu byliśmy nieraz w niebezpieczeństwie rozbicia się o lody, żałowaliśmy że flotta udająca się na połów wielorybów, nie znajdowała się z nami, bo mogłaby wkrótce zapasy swe porobić. — Przejeżdżając przez cieśninę Lankastra, widzieliśmy pięciu ogromnych niedźwiedzi, rozrywających pomiędzy siebie szczątki nieżywego wieloryba; strzelaliśmy do nich, ale dwóch z nich tylko udało nam się zabić, reszta uciekła.

7go *Sierpnia* powstał wiatr okropny, mgła tak gęsta jak grochówka (podług wyrażenia marynarzy) zaległa w około. Bez kompasu, który tu już nie działał, nic niewidząc dokoła musieliśmy żeglować na los szczęścia. Spotykaliśmy dużo lodów i morze było niezmiernie wzburzone. Niedojeżdżając do przylądka Riley zarzucić musieliśmy kotwicę, w tym właśnie miejscu, gdzie przed kilku laty zginął statek *Bredalbane*, po wyładowaniu swoich zapasów żywności i węgla. Wiedzieliśmy o tém i szukaliśmy tych zapasów we wskazanym punkcie. Jakoż znaleźliśmy je, ale niedźwiedzie pierwéj widać do nich się dostały, bo kilka beczek z wieprzowiną i z czekoladą było już napoczętych. Drzwi od domu zbudowanego przez ludzi ze statku Bredalbane znaleźliśmy wyrwane, zapewne przez burzę, a wejście zasypane śniegiem. Wyjąwszy jednak sucharów, wszystkie zapasy doskonale były zakonserwowane i wielce się nam przydały. Zwiedziliśmy potém groby tyle razy opisywane, a tyle smutnych nasuwające myśli, tych biédaków, co pomarli w czasie pierwszéj zimy, którą Franklin w tych stronach przebył. Z drugiéj strony przylądka Riley, znowu zatrzymać się musieliśmy dla nabrania węgla kamiennego, którego tam jest wielka obfitość przy samym brzegu; a ponieważ lody zaczynały nam znowu dokuczać, zarzuciliśmy kotwicę i wylądowaliśmy na wyspę Beechey, aby tam postawić piękny pomnik kamienny, któryśmy z sobą przywieźli, przeznaczony przez Lady Franklin na grobowiec dla jéj męża i jego towarzyszy. 20go zpomocą pomyślnego wiatru i przy czystém morzu przypłynęliśmy w okolice cieśniny Bellota. — Byliśmy wszyscy zainteresowani jak się rozwiąże zagadka która tyle wywołała sporów, a mianowicie czyli ten zalew wody był tylko zatoką morską, czy też rzeczywiście cieśniną, nikt bowiem dotąd nie przepłynął go w całéj długości. Po kilka razy zapuszczaliśmy się w tę cieśninę, któréj brzeg południowy wysokiemi granitowemi strzeżony jest skałami, ale prąd silny i bryły lodu zmuszały nas do odwrotu. Kapitan wysyłał ciągle na zwiady, czy z otaczających skał nie można będzie dojrzeć innéj cieśniny jak Bellota, która dla zapartych lodów nie dała się przepłynąć.

6go *Września.* Jeszcze raz zapuściliśmy się w cieśninę, tym razem z lepszym skutkiem, bo dopłynęliśmy do granitowéj wysepki; w bliskości jednak téj wyspy lody nas znowu zatrzymały, a że nie było lepszego portu i zima zbliżała się szybko, tu ją przepędzić zamierzyliśmy, cofnąwszy się trochę do małéj zatoki, którą zatoką Kennedy nazwaliśmy.

Nauczeni doświadczeniem roku zeszłego, przygotowania nasze na zimę stosowniéj porobiliśmy. Najpierwszém naszém staraniem było, aby korzystając z polowania i zbierając jak największą ilość mięsa z foków i innéj zwierzyny, nie pozbawiać się pokarmu ze świeżego mięsa, który najlepiéj od szkorbutu chroni. Kapitan przewidując, że nam może wypadnie tą samą drogą wracać, wysłał porucznika Hobsona z części, żywności do stacji naszéj poprzedniéj aby tam niektóre zapasy zostawił.

10go *Listopada.* Cała załoga okrętu wystąpiła na pogrzeb naszego starszego maszynisty p. Bland. Po odczytaniu stosownych modlitw, złożyliśmy go w lodowy grób, gdzie nigdy kwiatek nad nim nie zakwitnie, ani krewni nie zapłaczą. W takiéj żyliśmy zgodzie na okręcie, iż się nam zdawało że jedną stanowimy rodzinę, a gdy jednego z towarzyszy zabrakło, bolesne uczucie osie-

rocenia przez długi czas wszystkich nas przejmowało.

14go *Listopada*. Słońce znowu nas opuściło, a przy świetle smutnych łojówek, staraliśmy się jak można było najmniéj nudnie czas przepędzać. Wynajdywaliśmy sobie rozmaite zatrudnienia, aby ta kilkomiesięczna noc, krótszą się zdawała. Jedni chodzili łapać niedźwiedzie, inni zastawiali siecie na lisy, a inni znowu siecie podwodne na foki, które się nie dawały łapać. Oprócz tego, spostrzeżenia magnetyczne wytrwale były prowadzone co godzina w dzień i w nocy, co czasami przy północnym wietrze, stawało się niezmiernie uciążliwym obowiązkiem, bo zimno zatrzymywało prawie oddech w piersiach.

Słońce pokazało się znowu 26go Stycznia, a 17go Lutego kapitan i p. Young opuścili nasz okręt. Kapitan wziął z sobą dwóch tylko ludzi, Petersona jako tłomacza i Tompsona do powożenia psami; chciał on powziąść niektóre wiadomości od krajowców, mieszkających około bieguna magnetycznego, nim przedsięweźmiemy wielką ostateczną wyprawę z wiosną. Young zaś miał polecenie złożyć zapasy na drugiéj stronie cieśniny Wiktorja, w okolicy, któréj mieliśmy także później robić poszukiwania, oddalenie jego od okrętu trwało tylko do 5go Marca. Kapitan i jego dwaj towarzysze 14 Marca powrócili szczęśliwie; znaleźli oni gromadę eskimosów na przylądku Wiktorji, w bliskości bieguna magnetycznego, od których się dowiedzieli, że przed kilku laty, duży okręt zgnieciony został przez lody, że załoga dostała się na ląd i postępowała pieszo ku ujściu wielkiéj rzeki Fish River, gdzie wszyscy wymarli na wyspie (w Montreal); krajowcy ci pokazywali kapitanowi mnóstwo strzał, dzid i rozmaitych narzędzi porobionych z drzewa, oprócz znacznéj ilości łyżek srebrnych, widelcy i t. d. które jak powiadali znaleźli na wyspie. Nieulegało już więc teraz żadnéj wątpliwości, że tym razem byliśmy na dobrym tropie i z tą pocieszającą wiadomością kapitan M'Clintock pośpieszył do okrętu. Z powrotem kapitana, przygotowawcze wycieczki zakończyły się dość pomyślnie, a tymczasem najgorsza część zimy minęła bez wielkich strat w ludziach i mniéj dotkliwie uczuć się nam dała, jak poprzednia. Trudno jest jednak, kto podobnego życia nie doświadczył, zrobić sobie dokładne wyobrażenie cierpień, niewygód i pracy na jaką bywaliśmy narażeni, gdy nam wypadało po lodzie odbywać podróże. Sam ubiór nasz, składający się ze skór i futer, był już dość ciężkim do dźwigania; pomimo opatrzenia nóg, lód prawie ciągle napełniał obuwie nasze, a oprócz tego musieliśmy nieraz po 8 albo 10 godzin dziennie, ciągnąć sami sanie w głębokim śniegu, wśród temperatury o wiele zimniejszéj jak zmrożony merkurjusz, ze strasznym północnym wiatrem i zaślepiającym nas śniegiem; musieliśmy wstawać i kłaść się w najzupełniejszéj nocy, za całe schronienie mieć dom śniegowy lub namiot płócienny, za całe przykrycie kołdrę wełnianą, w któréj owinięci a drżący od zimna, słuchaliśmy jak psy nasze zgłodniałe wyły żałośnie, tém smutném, przeciągłém wyciem, właściwém psom grenlandzkim.

Przy takiéj pracy i wśród tylu niewygód, wycieńczenie sił jest tak wielkie i pragnienie tak nieugaszone, że szczupłéj porcji herbaty i jedzenia żaden z nas nieustąpiłby pewno za największe królestwo w świecie, i biada nieszczęsnemu kucharzowi, jeśli kociołek nasz nie gotował się na czas.

18go *Marca*. Young został znowu wysłany do przylądka *Fury Beach*, dla zabrania cukru, który jak nam było wiadomo kapitan Parry jeszcze w roku 1825 tam na zapas złożył. Cukru tegopotrzebowaliśmy koniecznie, bo doktór uważał, że ludzie nasi zaczynali chorować na szkorbut. Na szczęście znaleziono cukier nieuszkodzony wcale, w ilości 1200 funtów, ale że sanie jedne zepsuły się w drodze, ledwie po 10ciu dniach dociągniono je do okrętu. Pomimo otrzymanych już prawie pewnych wiadomości o jednym ze statków Franklina, kapitan M'Clintock nie zamyślał wcale zmieniać pierwotnego planu poszukiwań, a mianowicie; aby objechać wyspę *Montreal* i wyspę *King William*, zwiedzić brzeg cały *Viktoria Land* i podzieliwszy się na partje z kilku ludzi złożone, zwiedzić tę całą część kraju, która w czasie poprzednich wszystkich ekspedycji nie była wcale jeszcze poznaną.

Każda partja miała się składać z czterech ludzi ciągnących jedne sanie, z 6ciu psów ciągnących drugie sanie, z jednego oficera pieszo i jednego majtka powożącego psami [2]). Mając do pewnego stopnia zabezpieczenie żywności w składach, które kapitan w kilku punktach porobić kazał i ująwszy z sani każdy funt niepotrzebnego ciężaru, ażeby jak najwięcéj żywności na nie włożyć można było, byliśmy przygotowani na oddalenie od okrętu od 70 do 80 dni, z pełnym zapasem żywności na ten czas, a nawet i dłużéj.

Rozrządziwszy więc w ten sposób i dawszy każdéj partji stosowne polecenia, kapitan i porucznik Hobson wyruszyli 2go Kwietnia, pan Young zaś 7go tegoż miesiąca. Okręt został pod opieką doktora Walkera i trzech czy czterech inwalidów.

Chociaż wszyscy równie niecierpliwie wyglądaliśmy rozpoczęcia czynnéj pracy i każdy z nas rwał się, aby do partji eksplorujących pierwszy mógł należéć, gdy przyszła chwila odjazdu, smutek nas ogarnął; mieliśmy się dzielić na małe kupki, i przez trzy miesiące bez wieści jedni o drugich, bez schronienia na lodzie zostawać; jedna tylko myśl, że gdy się spotkamy, praca nasza skończoną będzie i nadzieja powrotu do domu bliższa, dodawała nam bodźca i odwagi.

Podczas naszéj niebytności nic szczególnego nie zaszło na statku, oprócz śmierci jednego z ludzi okrętowych, który przed naszym odjazdem tak był wyniszczony chorobą, że nie było nadziei uratowania go. Hobson powrócił pierwszy 14go Czerwca. Jak powiedziałem wyżéj, kapitan i Hobson wyjechali razem i aż do przylądka Wiktorji nie rozłączali się. Tam ważną powzięli wiadomość od krajowców, że drugi okręt przypędzony lodami na zachodni brzeg King William Land, téj saméj jesieni co i pierwszy zgniecionym przez nie został.

Mając teraz pewność, że oba okręty widziane były na zachodnim brzegu King William Land, kapitan M'Clintock ze szlachetnością sobie właściwą, dozwolił porucznikowi Hobson, pierwszemu probować odkrycia śladów zaginionych okrętów, a sam udał się na wschodni brzeg ku ujściu rzeki Fish River. W bliskości przylądka Norton, spotkał on gromadę 30 lub 40 eskimosów, którzy wielką okazali radość ujrzawszy nieznajomych białych ludzi. Odpowiadali oni chętnie na wszystkie pytania i pokazali wiele bardzo łyżek i widelcy srebrnych, które z naszemi ludźmi na noże i igły zamienili. Znaném im było dokładnie miejsce, gdzie leżą szczątki rozbitego okrętu, ale jak mówili dawno już bardzo w tych stronach nie byli. Opowiadali także, że widzieli załogę rozbitego okrętu, postępującą ku południowi, ale że z nią nie rozmawiali. Widzieli oni także szkielet człowieka na okręcie. Postępując daléj, kapitan napotkał w bliskości Point Booth, rodzinę eskimosów, którzy mu powiedzieli, że na wyspie Montreal znajdzie niezawodnie ślady białych ludzi. Kapitan przeszedł wzdłuż i wszerz tę wyspę, ale oprócz kilku sztuk miedzianéj monety i kilku kawałków żelaza, innych śladów ludzi Franklina nie znalazł.

Zwiedziwszy następnie brzegi cieśniny Dawisa i Simpsona i południowy brzeg wyspy King William Land, dopiéro około przylądku Herszla znalazł kapitan szkielet człowieka leżącego twarzą do ziemi, który widać idąc padł w tém miejscu i snem wiecznym usnął. Obok niego leżał pugilares, napełniony listami pisanemi w niemieckim języku. Wielka szopa którą niegdyś kapitan Simpson na przylądku Herszla zbudował na zapasy żywności, została zniszczona zapewne przez eskimosów, a wśród jéj szczątków nic nie znalazł kapitan, coby go mogło naprowadzić na drogę, którą ludzie Franklina udali się na południe. Minąwszy tedy przylądek Herszla, M'Clintock zwiedził nieznany dotąd brzeg ku zachodowi, gdzie już nawet śladów koczowisk eskimosów nie znalazł [3]). Postępując daléj napotkał łódź wywróconą, którą obejrzawszy znalazł w niéj kartkę od porucznika Hobsona z uwiadomieniem, że Hobson znalazł dokumenta i papiery należące do dwóch okrętów Franklina *Erebus* i *Terror*, że idąc od północnéj strony, aż do przylądka Her-

[2]) Obacz rycinę.

[3]) Koczujący eskimosi mają zwyczaj otaczać skórzane namioty swoje, dużemi kamieniami, które odchodząc zostawują ułożone w około swego obozu.

szla innych śladów i papierów nie znalazł, i że zatém udaje się wprost do okrętu.

Raport z poszukiwań Hobsona był następujący: „Rozłączywszy się z kapitanem na przylądku Wiktorji, udał się on do przylądka *Felix*, w bliskości którego znalazł szopę dość obszerną. Na około téj szopy znalazł mnóstwo odzienia, kołder i innych rzeczy należących do ludzi Franklina, którzy tu widać chcieli główny swój skład zrobić, przewidując że im wypadnie opuścić okręt; wszystkie te rzeczy zostały jak najskrupulatniéj przejrzane, w nadziei że się jakieś przytém odkryją papiery, ale napróżno, poczém Hobson powrócił do przylądka Wiktorji, do którego dochodząc jeszcze jedną podobną do poprzedniéj napotkał szopę, a w niéj znalazł papiery i pierwsze autentyczne sprawozdanie o losie zaginionéj ekspedycji; zawierało ono co następuje: Statki Franklina *Erebus* i *Terror* dopłynąwszy kanałem Wellingtona aż dowysokości 77^{0} wysokości północnéj, powróciły do wyspy Beechey gdzie pierwszą zimę 1845 na 46 spędziły. Wypłynąwszy ztamtąd następnéj wiosny zostały otoczone lodami i zatrzymane 12go Września 1846 roku na 70^{0} 5' północnéj szerokości a 98^{0} 23' długości zachodniéj. — *Sir John Franklin umarł* 11go *Czerwca* 1847 roku; a 22go Kwietnia 1848 załoga, straciwszy do tego czasu przez chorobę 9ciu oficerów i 15stu majtków, opuścić musiała oba okręta zostawując je wśród lodów o 5 mil na północ od Point Victory. Było jeszcze 106 ludzi pozostałych przy życiu; ci pod dowództwem kapitana Crozier, mieli nazajutrz od daty dokumentu, to jest 26 Kwietnia 1848 roku, udać się do ujścia Great Fish River.”

To było wszystko co zawierał ów dokument. Mnóstwo odzienia, narzędzi, rozmaitych naczyń kuchennych znalazł porucznik Hobson, w bliskości Point Victory, znaleziono także *Sexton* (narzędzie marynarzom służące do wynalezienia stopnia szerokości lub długości jeograficznéj) z nazwiskiem Fryderyka Hornby. Nazbierawszy kilka najciekawszych pamiątek po tych nieszczęśliwych, Hobson udał się ku przylądkowi Crozier. W tym punkcie, znalazł wyżéj wspomnioną łódź wystającą samym końcem z pod śniegu. Rozrzuciwszy śnieg, na dnie łodzi ujrzał dwa ludzkie szkielety, z których jeden był jeszcze przykryty massą odzienia; przy nich znalazł także zegarki, łyżki i dużo pieniędzy, oprócz tego kilka książek nabożnych, ale chociaż jedna biblja czytaną widać była z ołówkiem w ręku, bo wiele miejsc było podkreślonych, żadnego wszakże pisanego śladu o losach oddalających się od okrętu ludzi nie odkryto. Dwie fuzje nabite leżały w bliskości łodzi, a jedna z nich miała jeszcze odwiedziony kurek, widać że ci dwaj biedacy ginący z zimna i głodu, czatowali na niedźwiedzia, lub lisa, których mięsem jeszcze dni kilka przedłużyliby może cierpienia swoje, widoczném było że żadnéj żywności nie mieli już, bo oprócz kilku kawałków czekolady i trochę herbaty, które w tym klimacie nie są dostatecznym pokarmem, innych zapasów przy nich nie znaleziono.

Porobiwszy ścisłe poszukiwania na przylądku Crozier, Hobson powrócił do okrętu 14go Czerwca, upadły zupełnie na siłach, i w bardzo złym stanie zdrowia, gdyż przez 40 dni ostatnich swojéj wycieczki, już nie był w stanie ruszyć się, lub powstać z sani bez pomocy swoich towarzyszy. Kapitan M' Clintock powrócił 19 Czerwca po 80cio dniowém oddaleniu od okrętu. Przywiózł z sobą mnóstwo ciekawych i drogich pamiątek, dla rodzin zaginionych ludzi i porobił ważne odkrycia jeograficzne.

Young, który równocześnie prawie z kapitanem i Hobsonem wyruszył, porobiwszy także dość ważne jeograficzne odkrycia, powrócił do okrętu 8go Czerwca, dla odpoczynku, 10go zaś wyruszył znowu ku drugiéj stronie cieśniny Wiktorji, gdzie miał dokończyć poszukiwania swoje; tymczasem lody zaczęły ruszać, woda była już po kolana napowierzchni ich i lada moment spodziewaliśmy się ich pęknięcia, a Young nie wracał. Nieustraszony nasz kapitan, niezważając na fatygę 80cio dniowéj swojéj podróży, wziąwszy z sobą jednego tylko człowieka, wyruszył szukać Younga. Znalazł go w istocie w niebezpieczeństwie, bo tylko skała na któréj siedział nie była jeszcze zalana wodą, dawszy mu więc pomoc do zejścia ze skały zabrał go z sobą i 28go powrócili razem do okrętu. Dzięki opiece Boskiéj, po tylu niebezpieczeństwach by-

liśmy znowu wszyscy razem i pomimo braku świeżego mięsa, w dość dobrém zdrowiu. Wiosna zbliżała się, lody topniały szybko pod palącemi promieniami niezachodzącego już wcale słońca. Praca nasza była skończona i czekaliśmy tylko pęknięcia lodów, aby rozwinąć żagle i puścić parę w drogę do ukochanéj ojczyzny i domów naszych. Ciągle i bez końca rozprawialiśmy o smutnym celu naszéj wyprawy i o losach nieszczęśliwego Franklina. Już pierwsze wiadomości powzięte od eskimosów były tego rodzaju, iż mało nam dawały nadziei, abyśmy nie tylko samego Franklina ale któregokolwiek z jego towarzyszy mogli znaleźć przy życiu, wszakże trudno nam było przypuścić, a trudniéj jeszcze uwierzyć w jak okropny sposób śmierć zaskoczyła naszych rodaków i w jakich męczarniach zimna i głodu ginąć oni musieli. Otoczeni lodami, dwie straszne przebyli zimy, posuwani ku południowi tak nieznacznie, że przez 19ście miesięcy, zaledwo 18 mil angielskich zrobili. Zapasy ich szybko się zmniejszały, a zdrowie i siły musiały być coraz wątlejsze, nie mogli oni więc w chwili opuszczenia okrętu, zabrać z sobą wielkiéj ilości zapasów żywności; gdy te się wyczerpały, idąc padali po drodze i gdyby podróż ich niebyła się odbywała po lodzie, więcejbyśmy zapewne byli pamiątek i samych szkieletów znalezli tych, którzy dla sławy kraju i dla postępu nauki wszyscy zginęli, a jedyną ich może pociechą przy skonie, musiała być ta myśl, że ziomkowie ich nie spoczną, aż odkrywszy ostatnie ich ślady na ziemi, dadzą poznać światu ważny rezultat ich pracy i téj strasznéj podróży *„Odkrycie północno-zachodniego przejścia“* dla którego oni poświęcili życie.

W połowie Lipca błękitne wody Oceanu, zastąpiły lody w cieśninie Bellota, ale niestety! cieśnina Regenta przedstawiała jeszcze gładką szklistą powierzchnię; niecierpliwość nasza wzrastała, straciliśmy obu naszych mechaników i nikt oprócz samego kapitana, niepotrafiłby nadać ruchu tym kołom, którebyśmy tak radzi byli już usłyszyć poruszające się w wodzie. Do 7go Sierpnia byliśmy ciągle między nadzieją i obawą, aż nakoniec 8go pękły lody, a dnia następnego wiatr pomyślny poruszać je począł; któż naszą radość opisze!... Wzięto się zaraz do ogrzewania machiny parowéj, tym czasem okręt nasz, wraz z lodami płynąć począł. Trzeba było wszakże wielkiéj zręczności w kierowaniu okrętem i powiedzmy, wielkiego szczęścia, aby się wydobyć z objęcia tych gór lodowych bez szwanku, jeżeli nie bez zguby. Czujność, odwaga i zręczność naszego kapitana, były godne podziwienia. Niezmordowana jego energja i spokojność umysłu, w czasie największych niebezpieczeństw, były dla nas wszystkich bodźcem i otuchą, że podróż nasza szczęśliwie się zakończy. Po wielu trudnościach i niebezpieczeństwach żeglugi, wydobyliśmy się nakoniec szczęśliwie z lodów, które nas zewsząd otaczały, dzięki silnéj burzy która je rozproszyła i dnia 26 Sierpnia w nocy, zawinęliśmy pomyślnie do portu Godhaven w Grenlandji. Niecierpliwość nasza o listy z Anglji, które na nas tam czekały, była tak wielka, że przed świtem jeszcze posłaliśmy łódź do miasta aby je już mieć w ręku, co też dzięki uprzejmości władz portu Godhaven, zaraz się uskuteczniło. Z jaką radością listy te od krewnych i przyjaciół były czytane, ten tylko pojmie, kto jak my przebijał się przez tyle niebezpieczeństw i trudności i kto jak my przez lat dwa przeszło, był pozbawiony wszelkich wieści o najdroższych istotach w lubéj ojczyznie. Po uzupełnieniu koniecznie potrzebnéj naprawy naszego okrętu, wypłynęliśmy z Godhaven dnia 1 września 1859 r. a chociaż czas był burzliwy i noce bardzo ciemne, wszakże podróż nasza była bardzo prędka; 20go t. m. byliśmy na brzegach Anglji przy wyspie Wight, gdzie kapitan M' Clintock wylądował, 23 zaś „Fox“ szczęśliwie zawinął do Blackwall przy Londynie. Tak więc, dzięki miłosierdziu Boga prace nasze były pomyślnie ukończone, a my sami wróceni rodzinie i krajowi.

M. F. Z.

KARTA PEDAGOGIKI.

Jest jedno dzieło Klementyny z Tańskich Hoffmanowéj, które najmniéj poznane i ocenione zostało przez nasze czytelniczki. Jest to *Amelja Matką* czyli dalszy ciąg *pamiątki po dobréj matce*, gdzie ta sama córka, przedmiot nauk i serdecznych przestróg, przedstawioną znów jest jako matka przewodnicząca gronku dziatek, a przewodnicząca razem za oboje rodziców, śmierć bowiem męża wcześnie złożyła na nią ten obowiązek. Cały wstęp, wysokie pojęcie powołania matki i przewodniczki czworga dzieci, mistrzowsko tam jest skreślone. Kogóż nie rozczuli owa śliczna modlitwa, w któréj Amelja wzywa Boga do swego dzieła, kogóż nie wzniesie tak wysokie pojęcie, godności matki rodziny? Co zaś najmocniéj zachwyca w téj pracy i wysokiego talentu jest dowodem, to owo doskonałe scharakteryzowanie dziatek Amelji, owa przedmiotowość prawie poetyczna, która co chwila uwydatnia inne skłonności, inne dary, inny stopień pojęcia i inne upodobania w młodych słuchaczach. Bo są to właśnie słuchacze, Amelja bowiem wykłada im religję, uważając iż téj najważniejszéj i najwyższéj nauki, nikt lepiéj od matki przedstawić nie może. Pomagają jéj w tém wprawdzie, najprzód uczony i świętobliwy kapłan, potém zacny ojciec, nakoniec brat, który z zachęceniem i współczuciem podtrzymuje jéj energję w trudnym zawodzie. Być bardzo może, iż sam ten wykład religji, na dzisiejsze czasy potrzebowałby być przerobiony i w wielu miejscach zmodyfikowany. Nauka jest zawsze jedna, ale potrzeby wieku się zmieniają i wiemy dobrze, jak wysoko rozwinęła się w naszéj epoce apologetyka chrześcijańska. Nie o wykład też nam idzie, ale o *metodę*, o tę *żyjącą pedagogikę*, którą nasza ukochana autorka wprowadziła tam w zastosowanie. Pod tym względem nikt jeszcze téj myśli nie ocenił, nikt nie oddał sprawiedliwości należnéj. Wtedy nawet kiedy ukazało się to dzieło po raz pierwszy, urok *Pamiątki po dobréj matce* i ślicznych *Rozrywek* nie dozwolił się rozpatrzeć w téj cichéj i głębszéj daleko pracy. Weźmy tylko na przykład tom trzeci, zawierający jakby próbkę pedagogicznéj metody w nauczaniu historji Świętéj, jakaż tam wspaniałość, jak uroczysty a zarazem zajmujący pochód, a to wszystko streszcza się znów w końcu, w rozdziale, który zawiera wykład znamion religji naszéj, istotnie mistrzowsko skreślony. Od najmłodszych lat dzieło to silnie mnie zajmowało, widziałam w niém bowiem jakby wzór sposobu, jakim prowadzona ma być edukacja w ogóle przez matki rodziny. Tu pani Hoffman w czynie, w działaniu niejako przedstawiła wszystkie myśli swoje tyczące się pedagogiki, nauczyła jak wierzyć i kochać, aby być słuchaną i zrozumianą przez dziatki, jak wysoko trzeba pojąć swoje powołanie, aby módz je spełnić z pożytkiem, nakoniec jak dużo trzeba umieć, uczyć się i radzić światlejszych, aby zadowolić różne usposobienia, różne stopnie intelligencji młodych słuchaczów.

Ten genialny Ignaś stojący przed Amelją, jakby przypomnienie tych wielkich prawd, które dopiero wymieniliśmy, jest ogromną nauką dla niewiast; o ile bowiem pożądaną jest rzeczą aby kobiéty w kształceniu swojém nie traciły nigdy z pamięci przeznaczeń swoich, o tyle znów pragnąć potrzeba, aby te przeznaczenia rozległéj pojęte zostały.

Jakżeby taka metoda nauczania przez matkę, mogła być pożytecznie zastosowaną np. do historji; niebyłby to już wówczas suchy obraz faktów na którym często ogranicza się nauka tego przedmiotu, ale wspaniałe i systematyczne przeprowadzenie wyższych poglądów, które rozjaśnią cały obszar dziejów, jak owe drogi wycięte wśród gęstwiny niebotycznych lasów.... Tak wystawiałam sobie matkę otoczoną gronkiem dzieci, z których jedne, to jest córki, pokończyły edukację elementarną, drudzy, to jest synowie, od czasu do czasu w wolnych od szkolnych prac miesiącach, przebywają w domu rodziców. Przywykli znać w matce

wysokie światło, biegną łączyć się z siostrami w słuchaniu wyższych nauk, jakich im w poufnych rozmowach taż ukochana matka udziela. Tak być powinno i dopóki tak nie jest, czuć będziemy próżnię, która się niczem zapełnić nie da. Kobiéty nasze już są na téj drodze, stoją wyżéj od wszystkich innych niewiast europejskich, ale jeszcze potrzeba, aby to co bywa *niekiedy*, stało się *powszechném*, aby każda córka, w pojęciach religijnych, moralnych, społecznych, pokierowaną była przez matkę, chociażby elementarną edukację dla oszczędności odbyła na pensji, aby jedność zasad pod względem wszelkich żywotnych kwestji przenikała całą rodzinę, aby młodzieniec pomimo swéj wyższości w naukach nieprzystępnych matce, znajdował w niéj zawsze tę wyrocznię, ten wzór, który mu jaśniał w latach dziecinnych; aby ona odpowiadała ogólném światłem swojém, wysokością myśli, czystością dążeń, gruntownością rozumowania, wszelkim przejściom jego życia i potrzebom rozwijającego się umysłu w obec wieku. Wtedy to społeczeństwo będzie w normalnym stanie, wtedy serce matki będzie łącznikiem pokoleń, a z miłością podane doświadczenie, nabierze uroku jakiego dziś nie ma!

Za nadto ograniczamy przeznaczenie kobiéty do pierwotnych starań macierzyństwa; ona powinna być zawsze matką, zawsze przewodniczką, zawsze nauczycielką. Dawne wieki miały tę harmonję, bo skarb wiedzy nie był tak bogaty, zasady tradycyjne przekazywały się z ust do ust i świeciły pokoleniom same przez się.

Postać, powaga, życie matki już stanowiły naukę dla młodzieńca; dziś zadanie jest trudniejsze, nowe pojęcia nastały, potrzeba w nich wyrobienia, porządku; potrzeba węzła z przeszłością, kobieta więc uczyć się musi, aby odpowiedziała godnie swemu przeznaczeniu.

I taką to ja matkę *wystawiłam sobie*, (jak powiedziałam wyżéj), wśród córek dorosłych i synów kończących nauki, między niemi toczy się rozmowa *o dziejach naszych*, a te dzieje uważane są przez światłą nauczycielkę ze stanowiska tak szczególnego, tak nowego i taką tchnącego świeżością, jak policzki słuchaczy, a taką prawdą, jak poważne rysy matki. Względem tym, jest wykazanie: *jak rozwijało się pojęcie godności człowieka w dziejach naszych*? Najprzód więc skreśliła im początek słowiańskich narodów, tę równość i sielskość rodzimą, tę nieobecność feudalizmu, która odróżnia dzieje Polski od dziejów innych narodów europejskich, późniéj wskazała jak z naturalnéj i potrzebnéj idei starszeństwa, wyrodziło się pojęcie *wyższości*, które gotowe było u ludu, zanim rzeczywistość dostarczyła faktu mogącego wyrazić ideę.... Tak powstało szlachectwo, *późniéj* na polu walki, ale *pierwéj* w przeświadczeniu wewnętrznem narodu, w sercach pragnących czcić i wielbić prawdziwą godność.

I godność uosobiła się w wybranych, był to środek, była to droga Opatrzności, która chciała tym sposobem rozwinąć to pojęcie, uczynić je wyrobioném, wielkiém, zanimby się stało *powszechném*. Szlachectwo było u nas szkołą godności, jakby zawiązkiem przyszłego ugodnienia całego ludu.

Tak było w najpiękniejszych czasach naszéj Rzeczypospolitéj, wtedy rozumiano ducha szlachectwa, wtedy feudalizm różnił się od niego, jak starożytne zamki baronów, różniły się od naszych grodów hetmańskich.....

Tu przerwała mowę matka, smutek rozlał się na licach.... „Rzeczy, ludzkie mówiła, nie są ideałem, mają swoje skazy i wsteczności ([1]). Szlachectwo nie szło ciągle naturalnym biegiem, bo obce wzory rzucały

([1]) A jednak i w tém zboczeniu ku oligarchji, jakaż wielkość i poświęcenie dla kraju! uważmy co zapisała historja: Rozrażewski biskup kujawski wielkie pieniądze w gotówce i dużo broni rozmaitéj, jako strzelb i armat, darowywa Rzeczypospolitéj, aby miasto Kamieniec obwarować przeciw turkom. Książe Korecki ośm rot pięknie ubranych i uzbrojonych własnym kosztem, posyła pod Chocim Chodkiewiczowi, sam iść nie mogąc dla choroby. Wiesiołowski darowywa wieś na Podlasiu dla żołnierzy, którzy kalekami zostali na wojnie. Targowski Samuel oddaje Nową wieś w Poznańskiém na okup niewolników naszych u turka. Jan Lipski w powiecie Sandomirskim zapisał summę, z któréj miano płacić podatki za ubogich kmieci. Wielu oddawało majątki swoje na potrzebę kraju, wielu na utrzymanie ubogich wdów i na szkoły ubogich dzieci zapisywało. Było też wiele bractw religijnych, których członkowie wiele dobrego robili dla kraju.

zarazę feudalizmu w czyste godności i starszeństwa szeregi. Ztąd rozwijanie się niższéj szlachty nieregularne, niesystematyczne, raczéj klienteli, niż podnoszenia się noszące cechę, raczéj narzędzi politycznych, niż czynników społecznych. Tak utrzymuje wielki nasz poeta, w swoich kursach literatury słowiańskiéj i zdanie to pomimo przeciwnych teorji, utrzymać się musi, bo go poświadcza historja; to też słowo narodowe, czując drogi swe zwichnięte w téj stronie, zwróciło się ku innéj.

Myśl, owa twórczyni prawdziwego szlachectwa, owo przyrodzone szlachectwo człowieka, stała się ucieczką tradycyjnéj idei, do niéj zwrócił się duch narodu i w niéj przebywał, zacząwszy od pism Stanisława Leszczyńskiego, Andrzeja Zamojskiego, aż do chwili kiedy w prawach wielkiego sejmu urzeczywistniła się idea godności człowieka, zarysowana najprzód w instytucji naszego szlachectwa. Dla tego Mickiewicz z nieporównaną swoją intuicją, powiada, iż najpiękniejszą myślą wielkiego sejmu, był zamiar rozciągnięcia szlachectwa na cały naród.

Ale wielkie dzieło przerwane zostało, idea tradycyjna ubiegła znów w myśl, ukryła się w niéj jak droga perła w muszli, aby jaśnieć jak godło.... Czyż nie zrozumiemy wskazań dziejowych, czyż będziemy podążać błędnie za szlakiem Zachodu, który przebolał ciężką reakcję? Nie, nam to nie przystoi, zaprawdę, nam trzeba zostać rodzinnemi, trzeba nam wszystkim, że tak powiem, szlachtą być w znaczeniu duchowém, przez osiągnienie *szlachectwa duszy* z całym przyborem delikatności i wspaniałości rycerskiéj, z tym wykwintem i misterstwem cnoty, rozciągnionéj do najmniejszych odcieni działania, z tém pojęciem głębokiém, wszechstronném praw indywidualnych obok praw ogółu, z tém poszanowaniem dla człowieka wszędzie i zawsze, słowem, z tym kwiatem cnót prywatnych i publicznych, o których myśleli ojcowie nasi, kiedy z łona sielskiéj równości, wybrali sobie szczególne wzory. Tak tylko tradycja nasza zdoła połączyć się z nowemi dążeniami świata, tak tylko zrozumiemy zasadę, która była mityczną zasadą dziejów naszych. Tak tylko pojmiemy że u nas nic burzyć nie trzeba, bo wszystko od razu z postępem spojone.“

Zamilkła—dwaj dorodni młodzieńcy, rumiani zapałem, utkwili wzrok swój w matce, jakby śledząc tam dróg, które im tak śmiało wskazała; dwie dziewice, kwitnące młodością i urodą, zamyśliły się poważnie, bo im zajaśniał jak złoty łańcuch z wielu ogniw złożony, długi szereg warunków, pod któremi serca swoje jedynie oddać będą mogły na zawsze, a słowo ojczyste spoczywało jak promień słońca na tém całém gronku.

Gronko to znów czyż nie spojone ścisłym węzłem z ową rodziną zgromadzoną pod lipą około Amelji, kształcącą się naprzód na Słowie Bożém, które wszelkiéj prawdy społecznéj, jak wszelkiéj nauki jest aromatem, według uznania mędrca.

Eleonora Ziemięcka.

Bractwo np. Św. Trójcy Redemptorystów przez połowę 17 i 18 wieku wykupiło do 600 Polaków zabranych w niewolę przez wrogów. Wykupy te kosztowały ogromne summy, bracia szlachta kwestowała po kraju. Jeden jeszcze przykład miłości synowskiéj przytoczę. Krzysztof Strzemski miał matkę, którą mu tatarzy porwali i do Krymu zaprowadzili. Biedny syn zebrał pieniędzy co mógł i do Tatar pojechał. Przybywszy zastał matkę już umierającą. Szczęśliwy, że mu błogosławieństwo dać mogła, płaci za trupa jéj tyle pieniędzy, jakby za żywą i włożywszy w trumnę do Polski przywozi. Gdzie tylko przechodził przez ziemię tatarską, co żyło wybiegło dziwiąc się tak pięknéj miłości synowskiéj. Chociaż tatarzy poganie, przecież umieli wielbić poczciwość nawet w nieprzyjacielu. Nie prędkobyśmy skończyli, gdybyśmy chcieli wyliczać wszystkie przykłady poczciwości staropolskiéj.

NOTATKI Z PODRÓŻY.

(Dokończenie).

Ludność Berlińską objawia codziennie ulica zwana pod Lipami (*unter den Linden*), gdzie przedniejsze magazyny, księgarnie i hotele, o jakich wyobrażenia pod względem wygód, urządzenia i grzeczności w naszéj nie mamy Warszawie. Ciągnie tamtędy

i przechadza się całe miasto, bo przestrzeń ulicy wychodząc prawie od królewskiego zamku, biegnie przez most na Sprei zdobny posągami, daléj przecina zbieg ulic, gdzie kolosalny pomnik króla-filozofa na koniu, a kończy się niedaleko bramy Brandeburgskiéj, na szczycie któréj stojąca na tryumfalnym wozie apoteoza zwycięztwa, pogania cztery rozpędzone rumaki, a że te odwrócone były od miasta, nic dziwnego, że razu jednego uciekły i aż w Paryżu się oparły. Przyprowadzonych na dawne miejsce obrócono frontem do miasta i dziś ku niemu biegną.

Opera jest duszą każdego miasta, nie było jéj tam podówczas, bo lato wszystko i wszystkich po za mury miasta na wsie, podróże i wody uniosło. Kończyłem mój dzień zwykle w zakładzie Krolla, a wiecie co to zakład Krolla? Oto przejdźcie bramę Brandeburgską, potém wszedłszy w cieniste, nakształt naszych warszawskich, alei *Thiergarten*, zwróćcie na prawo, zkąd ciągłym idąc parkiem, zajdziecie do kwiecistego ogrodu, przepełnionego spacerującemi lub siedzącemi. W ogrodzie ogromny gmach, w gmachu duży teatr, w teatrze codzień widowisko i koncert. Ze zmierzchem ogród milionem lamp goreje, lampy bledną przy pysznym fajerwerku, doborowa ciągle brzmi orkiestra—a to wszystko za naszą złotówkę przy wejściu płaconą.

Zupełny brak wspaniałych świątyń w Berlinie, odejmuje mu majestat i powagę. Jeden jest tylko i to dość mizerny kościoł katolicki Śéj Jadwigi.

Z tém wszystkiém niedostatek ogrodów wewnątrz miasta, rozsiał na danych punktach mnóstwo omnibusów, w ciągłym ruchu w okolice, mianowicie do Charlotenburga, zdobnego miasteczka, z królewską rezydencją, ogrodem i parkiem, gdzie między innemi, piękne marmurowe mauzoleum królowéj Ludwiki, arcydzieło Raucha. Potsdam o 40 minut żelaznéj drogi, godzien całodziennego przypatrzenia.

O 10 wieczorem opuściłem Berlin.

Świat się już obył z koleją, obrachował jéj korzyści, a jedną z najdotykalniejszych, korzyść na czasie, tak wprzód marnowanym, tak dziś zyskanym w podróży. Lubię patrzyć na honory oddawane przez drożną straż pędzącemu pociągowi, bo widzę w tém wyższą myśl—pokłon nie jadącym, ale olbrzymiego wynalazku genjuszowi, w lokomotywie uosobionemu.

Droga żelazna (rzecz to wiadoma), nietylko wpływa na handel i ruch przemysłowy, bogacące narody, ale zetknięciem kraju z krajem, ludźi z ludzmi, przyczynia się do rozwoju nie tylko materialnéj, ale i umysłowéj w ogóle cywilizacji. Spotykają się pojęcia, myśl się ściera z myślą, wyrównywają się wyobrażenia ku potrzebie, dążnościom i pomyślności wszystkich. Oto piękna strona medalu, rokująca coraz piękniejsze rezultata i nadzieje. Odwrotną zaś stroną jest to, że łatwość komunikacji, zbliżenie stosunków i przestrzeni, może nieco odrywają od domowego ogniska, chłodzą spójnie rodzin, a ciche, ścisłe wewnętrznych ścian szczęście, przenoszą za dom i na interes zamieniają. Ależ bo taki dzisiejszy świat, takie dążności wieku. I musi prowadzić do postępu to, co ogólnie w obecném leży usposobieniu. Dawniejszych szczęście nie wystarcza dzisiejszym. Co wprzód ściskało się w uczucie, rozlało się dziś na zewnątrz, wyszło za dom, za serce, by świat stał się domem, sercem ludzkość cała. Co stracił dom, to ludzkość zyskała. Nie jest że to zaprawdę postępem?....

Jeżeli podróż żelazną koleją jest w dzień powabną, stokroć więcéj mnie zajmuje w porę nocną, gdy ciemność porówna przedmioty, rozleje ciszę i jakąś tajemnicą świat otoczy. Przelatujący parowóz przez straszne nocy otchłanie ze świstem i sykiem, ma coś potężnego, nadprzyrodzonego, co dziwi, przeraża i tém goręcéj pod skrzydło Boskiéj oddaje opieki.

Pociąg nasz w swobodnym oddawna był biegu, nocna lampka niepewne rzucała światło na wnętrzne wagonu, po którym wzrok mój błądził, tułał się, rozpatrywał ciekawie. Szóstą w nim osobą byłem ja, ale gorzéj niż sam jeden bo wśród pięciu nieznajomych mi kobiét. Ambarasujące zaiste położenie w zbliżeniu podróżném, wśród nocy, gdzie każdy jak u siebie, zabiera się do wygodniejszego usadowienia się. Zająwszy pierwsze miejsce w wagonie, do mnie te panie przyszły, składające jedną jak się zdawało rodzinę. Zawadzałem im z początku

widocznie; zrozumiawszy to, unicestwiłem się, a owinąwszy w szal podróżny, wciśnięty w kąt, milczałem jak grobowiec. Nieszło zatém abym niemiał choć z pod oka patrzyć, słyszyć i myślić. Powiedziałem sobie: najstarsza to matka, dwie panny to córki, najmłodsza może 9cio letnia, to ich siostra; ostatnia służąca. I zgadłem jak się okazało. One zaś już niezwracały na mnie uwagi, uważając za coś nakształt prochu, zera, najwięcéj jeźli za niemieckiego komiwojażera, bo zaczęły rozmawiać głośno, poufnie, gnieździć się wygodniéj. Była to rodzina francuzka, mówiła tylko po francuzku, prócz do służącéj do któréj jako widocznie niemki, po niemiecku. Matka między innemi, pytała starszych córek, czy wciągnęły do podróżnego dzienniczka to, co widziały w Berlinie. Ztąd opisy, przypomnienia. Matka była pełna powagi, córki ślicznéj, pogodnéj twarzy, trafnie i roztropnie opowiadały. Od wszystkich wiał dobry smak i wychowanie. Ale chociaż ich akcent był czysto francuzki, coś mnie piknęło że to nie jest ich język rodzinny, a gdy wciągu rozmowy dosłyszałem kontrabandą znać wyszłe z ust słówko polskie, tudzież że wracają z Paryża i do Polski, już nie wątpiłem że są memi spółrodaczkami. I żal mnie ścisnął na widok tak pięknych istot, tak w dary Boże bogatych, a tak upośledzonych grzechem cudzoziemszczyzny.

Było już po północy, widocznie wszystkim się oczy kleiły, matka budząc zdrzymioną dziewczynkę: „zmów pacierz, moje dziécię i spji“, rzecze do niéj po francuzku. I dziecie się przeżegnało i zaczęło połgłoskiem paciorek we francuzkim języku. Tu ból takim mnie dotknął uciskiem, że nie mogąc wytrzymać: „Boże! rzekłem w duszy, a rzekłem tak prędko jak gdybym chciał aby moja proźba z modlitwą dziecięcia razem stanęły przed tronem Najwyższego: Boże! niekarz dziecka za błąd matki, a oświeć je poznaniem prawdy, aby grzech tamtéj niestał się niewinnéj istoty grzechem.“

I wybity ze snu długo myślałem, marzyłem, a głównym przedmiotem mych myśli, była ta francuzczyzna, tak straszliwie jeszcze grasująca pomiędzy nami, a na dobitkę nosząca mylne przeświadczenie wyższego w nas wykształcenia. Ileż razy słyszałem z ust młodych polek, tak zwanego wyższego świata, te po francuzku wyrzeczone słowa: *Najlepszą oznaką przyzwoitego u nas człowieka* (d'un homme comme il faut), *jest to, kiedy dobrze mówi po francuzku.* I słyszą to mężowie, a jakkolwiek uważają się za postępowych, milczeniem tolerują, a zatém potwierdzają te zdania.

Oklepane to uwagi i wielekroć odgrzewane powtarzanki, ale nie przestaną być na swojém miejscu, dopóki poważnie wniknąwszy w siebie, niepoprawimy się z błędu, który byłby tylko śmiesznością, gdyby nie ciągnął za sobą szkodliwych następstw, niesiał ziarn kosmopolityzmu, niebył krzywdą dla języka, owéj arki narodu, a dźwigni narodowości. Zaraza ta, ponieważ idzie z góry, z góry léczoną być winna; kobiety nasze najdotykalniéj objęła, od kobiet téż inicjatywy w poprawie oczekuje. Dajmy zresztą pokój starym, przeżyłym i przyrosłym do nałogu francuzczyzny — ratujmy z niéj młode pokolenie, wchodzące w erę postępu i narodowéj dojrzałości; ratujmy na wzór pożarnéj taktyki, która gdy opłomienionych dokoła dachów ugasić niezdoła, cały ratunek obraca na te domy, co nie objęte ogniem, ocalić jeszcze potrafi. Mówmy do młodzieży: do was należy straż mowy ojczystéj, bo niedość ją przechowywać i bogacić w literaturze, ale nią mówić, nią tłomaczyć się, jest to miłować kraj, czuć i myślić dla kraju. Z dojrzałością – naród jak człowiek poważnieje. Czas nam przeto otrząść się z małoletniego trzpiotostwa francuzczyzny, która wyższości społecznéj, jakiejś bontonji w nas zaszczepionéj, jeźli kiedy była potrzebą, to dziś nietylko smiesznością ale i ciężkim jest grzechem.

* * *

W biały już dzień stanęliśmy we Wrocławiu. Dworzec Wrocławski jest jednym z większych jakie widziałem, dowodzi to wielkiego ruchu i ilości dróg jakie się ztamtąd rozchodzą.

Wrocław, stolica dolnego Szląska, ma dla nas dawnego braterstwa wspomnienie. Miasto duże, dziś handlowi i kupiectwu wyłącznie oddane, posiada przeszłości pamiątki; kościoły, mianowicie katedra, tu-

dzież ratusz, uroczo mchem czasu porosłe, pierwsze tam miejsce trzymają. Jest uniwersytet, biblioteka a mimo odwiecznego nacisku obcego żywiołu i zupełnego zniemczenia, przebija język polski, jak przez nagęszczone mgły i czarne chmury, promień słoneczny. Magazyny obficie zaopatrzone, zatrzymują szczególnie naszych podróżnych, a istne miasto cygar, przestraszającą ich przedstawia cyfrę. Hotel pod *Złotą Gęsią* (Goldene Gans), dobrze urządzony, jest ostatnią wygodną stacją od północy.

Wygodnie nam za granicą, życie tam lepiéj urządzone, podróż łatwiejsza, korzyści cywilizacji dotykalniejsze. Zrywamy się też do obcych krajów namiętnie, włóczymy się po nich bez ustanku—wszędy nas pełno, brukujemy naszemi rublami obce miasta, bo taki i popęd wieku i grzech naszego żywota. Bądź co bądź, tak jest bez zaprzeczenia. — Zkądże pochodzi to podwojone w nas serca bicie na widok pochylonych naszych chat, sosnowych borów, wydm piasczystych, któremi wjeżdzamy do kraju?— a ta radość przy wjezdzie, dla czegoż tém większa, rzewniejsza, im dłużéj paśliśmy oczy blaskiem obcych stolic, pól winogradowych, gajów pomarańczowych, krajobrazów szwajcarskich?... Oto ztąd pochodzi, że nasze serce i dusza, umysł i wszystkie moralne władze, przyrosłe do ziemi przodków, obejść się bez niéj nie mogą; oto dla tego, że téj ziemi żadna inna zastąpić nam nie potrafi. Anglik żyje w podróży, francuz dla chleba w obczyznie, niemcowi tam ojczyzna gdzie dobrze, szwajcar nawet rzuca swe góry aby gdzieś służył najemnikiem. Dla nas wygnanie wieczną tęsknotą, oddalenie chwilowém roztargnieniem, powrót niczém niezrównaną rozkoszą.

Temi zajęty myślami, wracałem z Wrocławia do kraju, przelatując płaszczyzny Szląska, zaludnione, uprawne, najeżone parowemi kominami, a co stacja i umyślny przystanek, zrzucając lub zabierając fabrykantów, rękodzielników, włościan nawet, z różnych miejscowości, na roboty lub z robót. Spóźniwszy się o parę minut na dworzec Wrocławski, za pokutę jechać musiałem wolnym, późniejszym pociągiem i nocować w Sosnowicach, po naszéj już stronie położonych. O! jakże raptowne to przejście z wygodnego Wrocławia do niby to hotelu w Sosnowicach, z wybitemi szybami, robactwem i twardym siennikiem. Złociła gorzką pigułkę tylko myśl, że się na swojéj jest ziemi, wśród swoich twarzy i języka. Ależ i szynk hałaśném brzmiał obok echem, gdzie zamiast jak u niemców piwo, mocna gorzałka głowy biesiadnikom zawracała. Resztki to już zgubnego obyczaju ustępującego, pod parciem silniejszych okoliczności. Powab własności i pracy dla siebie, ugodni i szynkowne warstwy społeczne, stopniowo wszakże; obowiązek zaprowadzi porządek i potrzeby zaspokoi

Kołysany tak błogiemi nadziejami, wydzierając się porównywaniu wczorajszego z dzisiejszym noclegiem, twardo usnąłem.

Nazajutrz o dziewiątéj zrana byłem już w Częstochowie.

Aby zrozumieć czém dla nas Częstochowa, potrzeba być nami. Z Morawji, Szląska i dalszych jeszcze krain i miejscowości, ciągną tam procesjami pobożni, modlą się do téj Cudotwórczéj Boga-Rodzicy, obchodzą Jéj ołtarz na klęczkach, aby uprosić dobro doczesne i na wieczność zeskarbić Jéj łaskę. Ale to nie to jeszcze czém Ona jest dla nas, jakim blaskiem promienieje Jéj oblicze, dla nas — rodzonych Jéj dzieci, których nietylko jest matką, ale królową narodu, opiekunką ziemi, orędowniczką przeszłości i przyszłości nadzieją. W naszém do Niéj nabożeństwie, żyje pamięć przodków, których była tarczą w boju, ratunkiem w potrzebie. W matczyném Jéj łonie leży tajemnica próśb, modlitw, westchnień tysiąca pokoleń, leży skarb łez, skarg i boleści ojców i dzieci — to téż któż z nas bez łez modlić się do Niéj umie, bez pociech od Jéj odchodzi ołtarza, bez nadziei „pod Twoją Obronę“ zmówić potrafi? W Jéj bowiem wizerunku łączą, skupiają się dla nas dwie świętości, dwie relikwie: wiara i narodowość, dla których nierozdzielną czujemy miłość, nierozdzielnie całopalenia niesiemy ofiarę. Tak było za naszych ojców, toż samo odziedziczyli i przechowują dzieci, dopóki im ziemi i krwi w żyłach stanie.

Pod wrażeniem takich przekonań, tak pobożnych uczuć, opuściłem Częstochowę,

witałem trybunalski nasz Piotrków, uśmiechnąłem się pięknym Skierniewicom i mknąc przez płaszczyzny Mazowsza w Warszawie stanąłem. *Henryk Cieszkowski.*

WSPOMNIENIA HISTORYCZNE

Z MIESIĄCA KWIETNIA.

— Dnia 23 Kwietnia 999 r. (według Kroniki Kadłubka) pruscy poganie zamordowali w Fischhauzie nad Bałtykiem Śgo Wojciecha Porajczyka, arcybiskupa gnieźnieńskiego, według Bielskiego zabójstwo to dokonane było około miasteczka Romowe.

— Trzeciego (1025 r.) umarł na zamku poznańskim wielki nasz król Bolesław Chrobry. Kagnimir grabia z Góry, z rodu Skubów, kustosz gnieźnieński, który za czasów Bolesława śmiałego spisał historję pierwszych królów polskich, obszernie opowiada szczegóły jego zgonu. „Skoro tylko dzielny król uczuł, że nie powrócą już więcéj stargane w pracy około dobra kraju siły, pojednał się najpierw z Bogiem, a potém zaraz zawezwał do łoża swego panów i szlachtę, dla naradzenia się z niemi, o zabezpieczenie całości państwa. Zaklinał ich, ażeby po jego zgonie trwali w miłości ku synowi jego, księciu Mieczysławowi, oraz w jedności i zgodzie; synowi zaś który obecnym był tamże wraz z żoną i małym Kazimierzem, zalecał mocno aby Boga nad wszystko czcił, poddanemi podług praw i sprawiedliwości władał, rozkoszy i miękkości unikał, a wojną się bawił. Obwarowawszy tak królestwo, zatrudniał się potém, mimo przemagającéj choroby, rozporządzeniem nagród dla wojska i dla domowników, a ustającym już głosem dawał jeszcze niektóre rozkazy księciu Mieczysławowi co do domowych okoliczności.” Po opisie ostatnich chwil króla, następują szczegóły pogrzebu. „Śmierć Bolesława najprzód biskupów, domowników, baronów i szlachtę, a potém lud wszystek, wielkim żalem przejęła. Chłopkowie biegli gromadami oglądać zwłoki najlepszego pana, na pogrzeb duchowni i liczne rycerstwo, smutni i żałośni. odwiedzali zwłoki wystawione w zamku, podobnież matrony rozpaczające i szlochające. Stosownie do rozkazu księcia Mieczysława, któren wszystko z królewską wspaniałością rozporządził i wykonał, wyprowadzono ciało do kościoła Poznańskiego i w środku złożywszy, z uczciwością pogrzebano.”

Po stracie tego najlepszego króla, wszystkie stany takim żalem zostały przeniknione, że dobrowolnie, jakby z rozkazu, dłużéj niż przez rok żałobę nosiły.— Niewiasty porzuciły zwyczajne stroje, zaniechano wesel i biesiad, słowem: lud obojéj płci, jak gdyby zmownie, zgon ten opłakiwał.

— Dnia 30go Kwietnia 1310 r. (według Bielskiego), w Kujawskiém miasteczku Kowalu, z ojca Władysława i Jadwigi Kaliskiéj księżniczki, przyszedł na świat Kazimierz Wielki. We dwadzieścia trzy lat późniéj (r. 1333), w tymże samym miesiącu (d. 25 Kwietnia), wraz z żoną Anną Gedyminówną, koronowanym był w Krakowie, przez Janisława biskupa. — W Kwietniu również założył pierwsze fundamenta akademji, we wsi Bawół pod Krakowem, o czém tak wspomina Bielski: „Posłał król Kazimierz do Urbana papieża do Avinium, prosząc go o arcybiskupa Lwowskiego na Rusi, co łatwo otrzymał i był nim Kristinus szlachcic polski, otrzymał także i konsens na zbudowanie akademji, którą począł budować, lecz nie dokończywszy jéj umarł, a Władysław Jagiełło inną w Krakowie zbudował“.

— Dnia 2go Kwietnia (1445 r.) umarł Zbigniew Oleśnicki, kardynał biskup Krakowski, zbawca Władysława Jagiełły w bitwie pod Grünwaldem, gdzie złamanym tylko drzewcem, powalił Dippold'a, Kickeritz'a, który godził na życie królewskie. Po tym wypadku wdzięczny król chciał pasować na rycerza walecznego młodzieńca, lecz tenże ugiąwszy przed nim kolana rzekł: „że obrał zawód żołnierza Chrystusa i sposobił się do kapłańskiego stanu“, jakoż we

dwa lata późniéj wróciwszy z Rzymu, przyjmował pierwsze święcenie. Dalszy żywot Zbigniewa Oleśnickiego, rozwinął się na tle najważniejszych wypadków dziejowych. Występuje on w charakterze duchownego ojca i wiernego doradzcy Wł. Jagiełły. — Nieugiętéj śmiałości, gdy przychodziło mówić zbawienną prawdę, strofował często króla, z którym mimo to łączyły go związki serdecznéj przyjaźni, jak świadczy o tém ostatni upominek umierającego. Kardynał Zbigniew nie mógł pośpieszyć aby obecnym być śmierci Jagiełły, o któréj wieść doszła go w drodze. Przed samém skonaniem, król zdjął z palca ślubną obrączkę Jadwigi i doręczając ją wiernemu dworzaninowi wyrzekł: Zanieś ten pierścień, który mię nigdy nie opuszczał Zbigniewowi, biskupowi Krakowskiemu. Niech go nosi na moją pamiątkę, a przebaczy mi popędliwość, z jaką częstokroć najsłuszniejsze jego upomnienia przyjmując, ojcowskie jego ku sobie serce zraniłem. Niech ma poleconą duszę moją, państwo to, dziatki moje, a mianowicie starszego syna Władysława, niech czuwa i opiekuje się niemi, pomny na dobrodziejstwa, łaski które odemnie kiedykolwiek otrzymał". Oleśnicki też wpływem swoim nie mało się przyczynił, że nieletni jeszcze Władysław, ogłoszony został królem i jemu być zarazem nieprzestał jako i braciom przyjacielem i doradzcą. Zawiadywał przytém z zrzadką roztropnością, ogromną podówczas djecezją Krakowską, używając jéj znacznych dochodów na czyny miłosierdzia, pobożne fundacje. Aby choć część Szląska powrócić Polsce, zakupił od książąt Cieszyńskich księstwo Siewierskie i odtąd biskupi Krakowscy aż do Kajetana Sołtyka nosili tytuł książąt Siewierskich. Fundował konwikt, na stu ubogich uczniów, bez względu na szlacheckie pochodzenie. Na soborze Bazylejskim przedstawiał godnie Kościół polski; niepodobna byłoby zresztą wyliczyć wszystkich zasług bogobojnego kapłana, poniesionych dla dobra kościoła i ojczyzny. Ciało jego spoczywa na Wawelu, téj świątnicy najdroższych nam narodowych pamiątek.

Dnia 10 Kwietnia (1525 roku). Albert Brandeburgski, ostatni mistrz Krzyżacki, składał hołd Zygmuntowi pierwszemu. Albert mistrz pruski (mówi Bielski) już bez ubioru Krzyżackiego, stawił się w Krakowie, gdzie królowi w rynku, na Majestacie siedzącemu hołd oddał, a król onego księciem uczynił i proporzec jemu z herbem orła czarnego podał, a Albrecht nowe książę, uczynione przez króla polskiego, królowi temuż i potomkom jego i Koronie poddaństwo i wiarę swą przysięgą na wieczne czasy oddał. *A. z Ch. Borkowska.*

KILKA SŁÓW O MECHANICE.

Mechanika stoi jakby na krańcach świata umysłowego i materjalnego. Kiedy rozliczne gałęzie nauki gonią za prawdą, podpatrują tajemnice natury, mechanika z ich z dobyczy korzystać pośpiesza, poznane prawa ogólne zastosowuje w praktyce do użytku lub uszczęśliwienia społeczeństwa. Za jéj to pośrednictwem człowiek tworzy swoje cuda maleńkie względem Wszech Stwórcy, a jednak wielkie względnie, bo będące owocem nabytych wiadomości, pracy i jeniuszu. Wojna, ta plaga przeciągająca od czasu do czasu po nad ziemią smugą krwi i łez, posługiwała się nie raz mechaniką, na szerzenie zniszczenia swojego. W ostatnich czasach armaty żłobkowane, mniejsze a daleko straszniejsze od dawniejszych, zyskały sobie smutną sławę wielkiéj celności i donośłości strzałów. Francuzi pierwsi używali ich pod Magenta i Solferino w 1859 roku. Anglia pozazdrościła im w téj chwili owego zabójczego wynalazku i wydała na świat armatę Armstronga przechwalając się jéj wyższością. Francuzi naturalnie zaprzeczyli, twierdząc, że angielskie armaty potrzebują być oczyszczane wewnątrz co dziesięć strzałów, gdy ich tymczasem do 300 strzałów wypuszczą jeden po drugim i niepotrzebują być czyszczone. Tak w tych jak i w tych armatach jest na wewnętrznéj powierzchni

po kilkadziesiąt wyżłobień, głębokich przynajmniéj na ósmą część cala, każde pod innym kątem wycięte. Z téj brązowéj paszczy wypada nabój rozpadający się na kilkadziesiąt części, tak jak dawne kartacze. Zamknięty jest cały jakby w ołowianéj łupinie, *chemise de plomb*, jak się wyrażają francuzi, zarzucając anglikom że w armatach Armstronga owa powłoka topi się jeszcze we wnętrzu armaty i objętością swoją zalepiając wyżłobienia, do częstego oczyszczania zmusza. Słowem szlachetna zkądinąd rywalizacja o ulepszenie, o wydoskonalenie, tu smutne nastręcza uwagi, ten bowiem wyrób jest lepszy który daléj, niezawodniéj, szybciej śmierć niesie!... Wojnę nazywają niektórzy żartobliwie, koniecznem puszczeniem krwi ludzkości, będącéj w stanie gorączkowym, chociaż Bogu jednemu wiadomo, jak często massy nieświadomie i niezapalnie krew tę przelewały i przelewają. W tém bowiem starciu osobistych interesów czy też dążeń społeczeństw lub ich przedstawicieli, człowiek pojedynczy nic nie znaczy – to tylko atom ludzkości. Lecz gdy krew jego zarumieni ziemię, on znów cierpieniem odzyskuje osobistość swoję. Bracia ludzie pospieszają nieść mu pomoc, a nauki medyczne obszernie traktują sposoby leczenia ran, wyjmowania z krwawiącego ciała strasznych kul stożkowych, oraz uczynienia życia znośném tym nieszczęśliwym, co przeżywszy swe bóle, zostają jednak kalectwem dotknięci. Zwróćmy tylko uwagę na bardzo wydoskonalone w ostatnich czasach wyrabianie rąk sztucznych które już w zeszłym wieku podziwienie budziły. W roku 1761 niejaki francuz *La Violette* przy powtórném nabijaniu nie zupełnie wolnéj od poprzedniego naboju armaty, miał obie ręce urwane. O prawéj już nie było co myśleć, gdyż została zdruzgotaną w całości, ale z lewą udał się po zagojeniu do pewnego mechanika, nazwiskiem Laurent, który mu zrobił do ramienia przyrząd wypełniający wcale nie źle funkcje kończyn górnych. Paryzka akademja nauk zachwycona była tém arcydziełem. La Violette bowiem mógł jeść i pić za pomocą swych sztucznych palcy, mógł się kłaniać, nałożyć fajkę, włożyć z tęgą miną rękę do kieszeni, a nawet i pisać w potrzebie. Napisał też do Ludwika XV prożbę o pensję dożywotnią, a król w téj chwili swoją *prawdziwą* ręką pospieszył odpisać: *bardzo chętnie.*

W roku 1860 cały Paryż zajmował się ręką dorobioną dla sławnego spiewaka opery p. Roger, tak zręcznie, że na teatrze szczególniéj, poznać nie można że jest fałszywa. P. Mathieu jéj twórca, coraz bardziéj jeszcze doskonali swe wyroby. Naśladuje naturalne poruszenia ręki w łokciu, w palcach i nadaje ramięniowi potrzebną sztywność do udźwignięcia niektórych przedmiotów, do naciskania nieodzownego w czasie krajania i t. p.

Ten owoc zastosowań mechanicznych, niezaprzeczenie mniéj od poprzedniego budzi rozgłosu, ale też daleko więcéj współczucia.

O UBIORACH.

Ciepłe wiosennego słońca promienie które już śmiało zaczynają zaglądać pod kapelusze, podały nam myśl zwiedzenia fabryki parasoli p. Jemiałkowskiego w pałacu Krasińskich na Krakowskiém - Przedmieściu, znanéj z lekkości i trwałości swych wyrobów. Oglądaliśmy tam ładne parasoliki czarne poult de soie, oszyte szeroką falbaną z tegoż samego materjału; brzeg u niéj był wybijany w kwiaty i wycięty w zęby, takaż sama węższa tylko nieco falbanka, umieszczoną była w górze zamiast kokardy, podszewka biała marselinowa również wycinana, niedochodziła brzegu falbany, rączka była toczona biała kościana, cena takiéj parasolki złp. 30. Tejże saméj wielkości i formy, bardzo ładne były parasoliki z materji czarnéj w białą kratkę po złp. 33 gr. 10. Mniejsze parasoliki (to jest podobne do tych które opisaliśmy) są bez wątpienia więcéj odpowiednie do lekkiego i strojnego ubioru, przekładamy jednakże nad nie większe, tak zwane *en tout cas*, to jest że w razie deszczu nawet, chronić

mogą kapelusz i suknię od zmoczenia. Parasolik taki czarny poult de soie z szerokim szlakiem do koła i rączką palissandrową, kosztuje u p. Jemiałkowskiego złp. 25. Nie wątpimy że osoby skromnych nawyknień w przedmiotach ubioru, zadowolnione będą z parasolek które opisaliśmy; wykwintniejsze, znaleźć mogą w magazynie pana Szlenkera, śliczne parasoliki białe jedwabne pokryte czarną koronką po złp. 60, po tejże równie cenie czarne morowe z białą podszewką, zupełnie zaś białe od złp. 50, do 80, stosownie do gatunku materji. Znajdują się tam również parasoliki *en tout cas* z brzegiem haftowanym czarnym lub białym jedwabiem, z rączką czarną zakończoną gałką z aluminu, po złp. 48 i skromniejsze z gładką rączką, po złp. 42. Niektóre osoby przekładają w obecnéj porze nad parasoliki, ombrelki czyli okrągłe wachlarzyki chroniące oczy od promieni słońca, znaleźć ich można znaczny zapas u pana Drewsa od jedwabnych zielonych po cenie złp. 10, 12 i 20, aż do skromnych papierowych po złp. 2; dodać jednakże musimy że te ostatnie bardzo krótko trwałe, bo za lada silniejszym wiatru powiewem ulegają zniszczeniu. Magazyn pana Lotha gotuje znaczną ilość kapeluszy słomkowych na nadchodzącą szybkim krokiem letnią porę, niektóre z nich nęcą już w oknie przechodniów, pełném smaku przystrojeniem w czarny aksamit, sznelkę, lub czarną szeroką mantynową wstęgę; późniéj gdy ich przybędzie więcéj, opiszemy czytelniczkom naszym ceny i gatunki, obecnie bowiem nikt jeszcze prawie nie kupuje słomkowych kapeluszy, czekając na większy wybór, zeszłoroczne tylko dają się wcześnie do przerobienia, uprania lub ufarbowania na czarno, zważywszy że podobne odświeżenie zabierze zawsze kilka tygodni czasu. Mówiono nam że tego lata najwięcéj używane będą kapelusze ze słomki brukselskiéj, lub ryżowéj florenckiéj, oglądaliśmy podobne w magazynie pani Morand, pierwsze w cenie od 20, do 53 złp., drugie od 60, do 133 i gr. 10. Widzieliśmy także bardzo ładne siateczki z filozeli po złp. 22 oszyte do koła ruszem mocno odniesionym po nad czołem, w ogóle wszystkie ubiorki na głowę pani Morand odznaczają się dobrym smakiem i niezbyt wysoką ceną. Kolor czarny jest głównie panującym tak w większym stroju, jak w codziennych ubiorach. Na dnie cieplejsze polecamy płócienka i perkaliki pani Grohman, na czarném tle w białe prążki, kratki, lub rzucik, do każdéj spódniczki radzilibyśmy mieć zuawkę i paletocik z tegoż samego materjału a to z przyczyny że w ten sposób niema potrzeby zmieniać stroju wychodząc na miasto, można tylko w miejscu zuawki zarzucić paletot, który po domu nie jest dogodném ubraniem dla swéj długości. Widzieliśmy u pana Thonesa bardzo ładne czarne kamloty w białą kratkę po złp. 4 łokieć, kamlot podobny nie rudzieje w noszeniu jak zwyczajny czarny i naśladuje doskonale jedwabne wyroby. Spódniczka z tego materjału z paskiem szwajcarskim, z białą batystową bluzką i zarzuconą na nią zuawką, stanowić może bardzo ładne ubranie dla młodéj panienki zarówno czternasto jak ośmnastoletniéj, czy na codzień, czy do większego wizytowego stroju. W ostatnim razie dodać jeszcze trzeba kapelusik czarny kaszmirowy podszyty białą i czarną ruszką. Ubraniém wizytowém osoby starszéj może być suknia czarna popelinowa, kapelusz kaszmirowy z okrągłą półwoalką podszyty białą ruszką, kołnierzyk i mankietki cienkie webowe, gładkie lub haftowane stenbenką, szal czarny kaszmirowy. O sposobie noszenia włosów, bucikach i rękawiczkach mówiliśmy już w marcowym zeszycie Kółka, dodamy więc tylko, że rękawiczki o jednym szwie wyrabiane w sklepie p. Romanowskiego, w pałacu Potockich na Krakowskiém-Przedmieściu, równie długo się noszą jak paryzkie, kosztują zaś złp. 5.

Jakkolwiek obecna pora w miejscu futer które już za nadto grzeją, wymaga lżéjszych okrywek, nie wiele o tych ostatnich powiedzieć jeszcze możemy, a to z powodu że magazyny nasze za parę tygodni dopiero obiecują zapasy świeżych towarów. Magazyn p. Szlenkera wyprzedził pod tym względem inne, można tam już znaleźć piękny wybór płaszczyków i paletotów różnego rodzaju w umiarkowanéj cenie. Do rzędu okrywek wiosennych, policzyć można również, znajdujące się tamże ciepłe szale i chustki z angielskiego tartanu, pierwsze w cenie od złp. 84, do 130, drugie od 54 do 84. Sztuka farbierska zrobiła w tych czasach znaczne u nas postępy, widzieliśmy różnokolorowe perkaliki, które ufarbowane na czarno i wydrukowane w drobny biały desenik, wyglądały zupełnie jak nowe. Farba jednéj takiéj sukni kosztuje złp. 10 u pana Judlina na Krakowskiém-przedmieściu wprost kościoła Bernardynów.

Obicia, Meble Dywany i Story.

Ponieważ niewątpimy że niejedna z prenumeratorek naszych, zarówno jak przystrojeniem własnéj osoby, zajmuje się przyozdobieniem domu, a wiosna jest właściwą porą wszelkich robót tego rodzaju, zwiedziliśmy skład obić papierowych pana Moes'a w domu Grodzickiego na Krakowskiém-Przedmieściu znaleźliśmy tam piękny wybór materjałów zastosowanych do różnych nawyknień i upodobań, od obić salonowych po 18 złp. sztuczka, aż do tych, które mogą przyozdobić ściany skromnych pokoików drewnianego wiejskiego domku i kosztują po złp. 2 gr. 20 sztuczka.

Z obić które oglądaliśmy śliczne nam się wydały białe ze złotem, po 18 złp. sztuczka, jedno z nich np. naśladowało niby ciężką białą materję w szerokie pasy na których rzucane były gdzie niegdzie złote bukieciki, szlak do niego dobrać można amarantowy ze złotem lub złoty z białym kolorem, radzilibyśmy zawsze ten ostatni. Nadmienić jeszcze musimy że w salonie podobnie wyklejonym, chcąc uniknąć śmiesznéj dysharmonji, wypada mieć meble, posadzki, firanki, portiery etc etc, słowem wszystko odpowiednie wykwintności i bogactwu obicia. Według naszego zdania salon podobny mieścić się również powinien nie w drewnianym domu, lecz w murowanym pałacu. Do skromniejszych, lubo zawsze nacechowanych dobrym smakiem salonów, podobało nam się bardzo obicie białe naśladujące do złudzenia morę staroświecką, (moire antique) po złp. 4 sztuczka i drugie po złp. 5 w rodzaju adamaszku w duże bukiety, szlaki do nich można dodać wedle upodobania, najładniejsze jednakże białe wpadające w cień perłowy. Do mniejszych pobocznych pokoi bardzo są ładne obicia które na tle szafirowém lub lilla, naśladują niby ukośne draperje z białéj koronki przewiązanéj wstążką, sztuczka po złp. 10. Sliczne są także obicia naśladujące płocienka, lub perkale angielskie w szerokie glansowne pasy, po złp. 6 gr. 20 sztuczka. Z tańszych ładne były dwa adamaszkowe desenie cieniowane popielato na tle zieloném lub szafirowém po cenie złp. 2 gr. 20 sztuczka i po tejże cenie obicie popielate w białe pasy na których rzut bukietów różnokolorowych. Żądając podobnego sprawunku, należy najpierw przysłać miarę długości, szerokości i wysokości pokoju do którego się pragnie mieć obicie, aby według tejże wyrachować można potrzebną niezbędnie ilość sztuczek.

W składzie pp. Rhan i Vetter na Krakowskiém-Przedmieściu oglądaliśmy story do okien tak niezbędnie potrzebne w czasie upałów letnich; są one w trojakim gatunku, skromne szafirowe lub zielone które naśladują draperje, ozdobniejsze w bukiety różnokolorowych kwiatów na tle białém i bardzo wykwintne na tle również białém, w różne na obstalunek desenie. Z tych które oglądaliśmy podobały nam się najwięcéj krajobrazy z pod zwrotnikowego nieba, gdzie wyniosłe palmy ocieniają wspaniałe kaktusy i inne świetnéj barwy południowe kwiaty, a wśród tych drzew i krzewów, bujają swobodnie różnokolorowe papugi i kolibry. Cena stor jest mniejszą lub większą stosownie do wielkości okien, których dokładną miarę przysłać potrzeba, chcąc je kupować. Skromniejsze które opisaliśmy wyżéj, kosztują od złp. 13 gr. 10, do złp. 16. Ozdobniejsze od złp. 20, do 26 gr. 10, najpiękniejsze zaś od złp. 66 gr. 20, do złp. 80. Słyszeliśmy w tych czasach, że pewien bogaty właściciel ziemski, chcąc dom umeblować sprowadził wszystko z zagranicy. Zwiedziliśmy zatém magazyn mebli pana Simlera przy ulicy Mazowieckiéj, jeden z pierwszych w Warszawie, aby się przekonać czy w istocie niemożna w żaden sposób uczynić zadość wymaganiom zbytku, pozostawując w kraju pieniądze wydane u obcych. Przekonaliśmy się, że jedynie zła wola może skłonić do podobnego postępku, albowiem meble które oglądaliśmy nie ustępują w niczém zagranicznym co do formy zewnętrznéj, przewyższają je zaś w trwałości. Nadto zapewnił nas p. Simler że chętnie podejmie się roboty mebli, których wzory będą mu podane, w ten sposób zaś może uczynić zadość wszelkim najwykwintniejszym wymaganiom, a jakichże to pięknych wzorów dostarczyćby mogli nasi rysownicy, czerpiąc z dawnych zabytków tego rodzaju sztuki.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1. Boczek kamasza sukiennego dla chłopczyka 5 letniego.
Nr. 2. Boczek drugi.
Nr. 3. Klapka do zapięcia na guziki.
Nr. 4. Całkowity kształt kamasza.
Nr. 5. Rękaw z oznaczeniem kształtu wykładu, falbanka robi się z téj saméj materji co rękaw, układana w fałdki; do wełnianego rękawa, guziki i plisy robią się z aksamitu.
Nr. 6. Peleryna czyli burnusik dla małego dziecka. (Dla braku miejsca założona forma na tablicy).
Nr. 7 — 8. Pantofel: deseń wyszywa się nitką złotą i kordonkiem, ściegiem szydełkowym.
Nr 9 — 10. Kołnierzyk i mankietki: muszki stębenkiem, reszta atłaskiem.
Nr. 11. Rękaw z oznaczeniem wykładu. Ozdoby powinny być ze wstążki odmiennego od sukni koloru.
Nr. 12. Karczek do koszuli dziennéj z deseniem atłaskowym.
Nr. 13. Rękaw do tejże koszuli.
Nr. 14. Kołnierzyk tiulowy. Potrzeba pokryć tiul muślinem i haftować atłaskiem, po ukończeniu muślin wycina się starannie.
Nr. 15. Róg do chustki od nosa z cyfrą M. S.
Nr. 16 — 17 — 18. Imiona.
Nr. 19 — 20 — 21. Ząbki do dziergania.
Nr. 22 — 23 Kołnierzyk i mankietki stębenkiem.
Nr. 24 — 25. Kołnierzyk i mankietki z przydzierganą koroneczką.
Nr. 26. Tarcza do cyfry.
Nr. 27. Ząbki do falbanek.
Nr. 28. Bukieciki mniejsze i większe na rzucik.



Moine Imp r. St Louis en l'Ile 90. Paris.

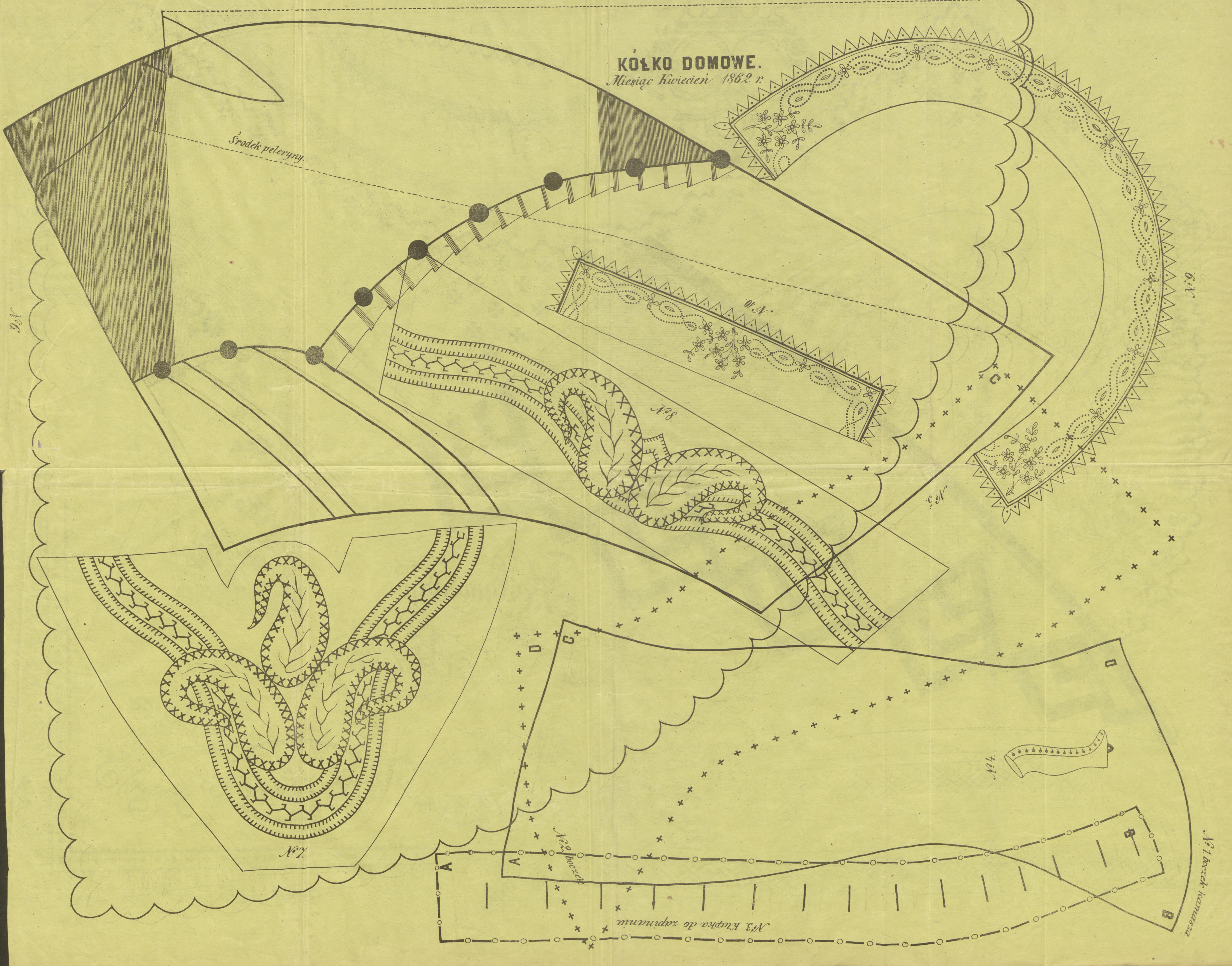
992

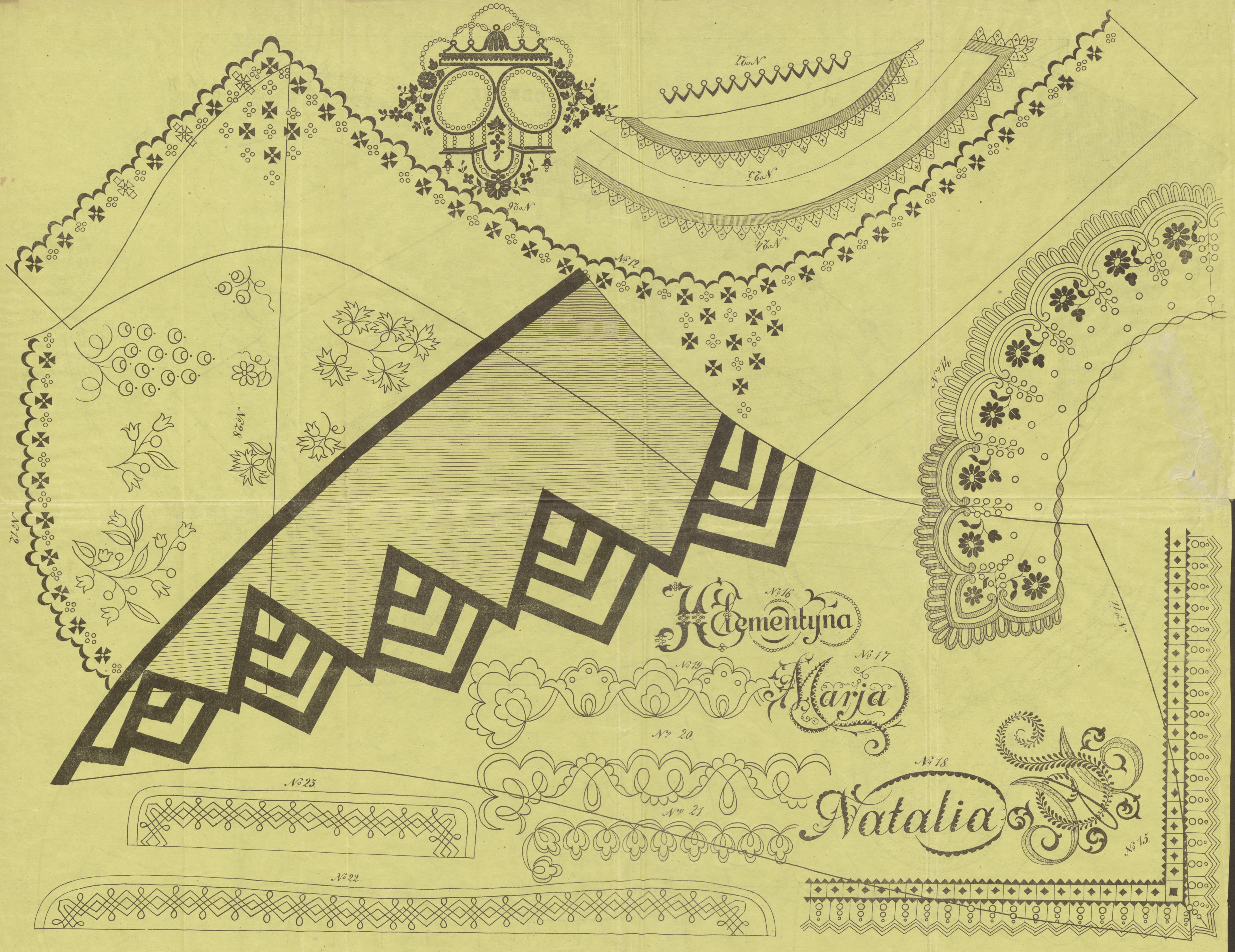
KÓŁKO DOMOWE

Kwiecień 1862

KÓŁKO DOMOWE.

Miesiąc Kwiecień 1862 r.





№ 12
№ 16
Klementyna
№ 17
Marja
№ 18
Natalia
№ 19
№ 20
№ 21
№ 22
№ 23
№ 15